

Anna Wasak, Robert Mazurek

Radzyńskie spotkania z podróżnikami : cz. 3

Radzyński Rocznik Humanistyczny 13, 199-248

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Anna Wasak
Robert Mazurek

Radzyńskie spotkania z podróżnikami. Cz. 3

„Radzyńskie spotkania z podróżnikami” to wspólne przedsięwzięcie Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych i Szkolnego Koła Krajoznawczo-Turystycznego PTTK nr 21 przy I Liceum Ogólnokształcącym w Radzynie Podlaskim. W ciągu trzech lat stały się ważną, cykliczną imprezą, która zapewniła sobie poczytne miejsce w kulturalno-towarzyskim życiu Radzyna. Najlepiej o tym świadczy zawsze pełna widownia. Rekord frekwencji, jaki padł na spotkaniu z Wojciechem Cejrowskim, wzbudził uznanie u samego „Pierwszego Kowboja RP”, bywałego przecież w świecie i przyzwyczajonego do licznych słuchaczy.

Dlaczego mieszkańcy naszego miasta i powiatu pokochali „Radzyńskie spotkania z podróżnikami” – i to w dobie, gdy można usiąść przed telewizorem czy komputerem i w ten sposób „zwiedzać” dowolny zakątek świata?

Oprócz różnorodności „zwiedzanych” miejsc, ciekawych form spotkań, niezwykłych osobowości podróżników ważna jest na pewno możliwość osobistego spotkania z ludźmi, którzy mają wiele ciekawych doświadczeń i spostrzeżeń, możliwość zadawania pytań. W ostatnich miesiącach doszły takie formy spotkań ze światem jak warsztaty podróżnicze, wystawy fotografii czy niezapomniany „Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim”. Zbiegło się u nas wiele podróżniczych szlaków!

Nie byłoby tego, gdyby nie zaangażowanie wielu osób, firm prywatnych i instytucji. To właśnie dzięki nim „Radzyńskie spotkania z podróżnikami” odbywają się w należytej oprawie i randze. Podziękowania należą się również tym, którzy wspierają pomysł: burmistrzowi Radzyna Jerzemu Rębkowi oraz wójtowi gminy Radzyń Podlaski Wiesławowi Mazurkowi.

	Podróżnik	Temat, termin i miejsce spotkania
Imprezy towarzyszące „Radzyńskim spotkaniom z podróżnikami”		
12.	Tomasz Owsiany	„Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” 16 stycznia 2015 r. Radzyńska Izba Regionalna (pałac Potockich)
	Wystawa fotografii Tomasza Owsianego pt. „Madagaskar – niecodzienna codzienność prowincji” (12 stycznia – 13 lutego 2015 r.)	
11.	Wojciech Cejrowski	„Ale Meksyk!” 25 września 2014 r. I LO w Radzynie Podlaskim
10.	Krystyna Choszcz	„Moja Afryka” 24 lipca 2014 r. Izba Regionalna w Białej k. Radzyna Podlaskiego
	„Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim” z udziałem dziecięcego zespołu „Freespirit” z Moree w Ghanie (21-28 lipca 2014 r.)	
9.	Barbara Dmochowska	„Australia” 5 czerwca 2014 r. Sala balowa pałacu Potockich w Radzynie Podlaskim
	Warsztaty podróżnicze „Down under – czyli co słycać w Australii?” z uczniami SP nr 2 w Radzynie Podlaskim (6 czerwca 2014 r.)	
8.	Marek Pindral	„Chiny od podszewki” 13-14 lutego 2014 r. Biblioteka Pedagogiczna w Radzynie Podlaskim Sala widowiskowo-kinowa ROK
7.	Anna Świątek	„Japonia w czterech porach roku” 27 grudnia 2013 r. „Kofi&Ti” w Radzynie Podlaskim
6.	Tadeusz Chudecki	„Ze mną na koniec świata” 8 listopada 2013 r. I LO w Radzynie Podlaskim Filia nr 2 MBP w Radzynie Podlaskim
5.	Arkady Radosław Fiedler	„Podróżnicze i kolekcjonerskie pasje rodzinne” 18 czerwca 2013 r. ZPO w Woli Osowińskiej I LO w Radzynie Podlaskim
4.	Stefan Czerniecki	„Śladem szeptu amazońskiego potoku” 8 marca 2013 r. MBP w Radzynie Podlaskim
3.	Jarosław Kret	„Planeta według Kreta” 7 grudnia 2012 r. I LO w Radzynie Podlaskim

2.	Robert Maciąg	„Świat przygody rowerowej” 21 września 2012 r. Sala widowiskowo-kinowa ROK
1.	Michał Kruszona	„Uganda. Jak się masz, muzungu?” 21 lipca 2012 r. Biblioteka Pedagogiczna w Radzynie Podlaskim

Spotkania z podróżnikami: Michałem Kruszoną, Robertem Maciągiem, Jarosławem Kretem, Stefanem Czernieckim, Arkadym Radosławem Fiedlerem, Tadeuszem Chudeckim, Anną Świątek i Markiem Pindralem zostały zaprezentowane w XI i XII tomie Radzyńskiego Rocznika Humanistycznego z 2013 i 2014 r.



www.facebook.com/radzyn.spotkania



Barbara Dmochowska – urodziła się w 1977 r. Pochodzi z Trójmiasta, część życia spędziła mieszkając w Sydney, San Francisco, Pradze i Monachium. Dziś mieszka na kaszubskiej wsi. Tłumacz oraz popularyzator nauk przyrodniczych. Związana z Uniwersytetem Gdańskim. Autorka książki „Australia” wydanej w 2014 r. przez Wojciecha Cejrowskiego w serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Z zamiłowania mama (dwie córki), żona, przyrodnik, amator rowerów, nart, kajaków, żagli i wędrowania. W podróżach z plecakiem i namiotem nigdy sama, najpierw z siostrą i rodzicami, później z przyjaciółmi, mężem, teraz z mężem i córkami. Jej ulubione miejsce to... pustka.

Australia to kraj fascynującej przyrody

Wywiad Roberta Mazurka z Barbarą Dmochowską, autorką książki „Australia”

Podróżując wspólnie z mężem po Australii, poruszałaś się siedemnastoletnim samochodem, który u napotykanym tubylców wzbudzał wesołość albo szczere powątpiewanie. Skąd ten pomysł?

Sam pomysł podróży do i po Australii powstał bardzo spontanicznie, pod wpływem chwili, poszukiwania odmienności. Zapadła decyzja. Znaleźliśmy się na Antypodach z planem kilkumiesięcznej pracy w Sydney w celu odłożenia funduszy na realizację podróży po kontynencie, w tym również na transport do tej podróży. Początkowo nie wiedzieliśmy, czy będzie to samochód wynajęty, czy autobusy..., ale nadarzyła się okazja i mogliśmy kupić własny samochód. Nie postrzegaliśmy go wtedy jako wątpliwego staruszka. Był tani, polecany, dobrze wyglądał i miał napęd na cztery koła! Byliśmy przeszczęśliwi, że mogliśmy stać się jego posiadaczami i chyba patrzyliśmy na niego jak na wypasioną Toyotę 4x4 z folderów firm oferujących wycieczki po outbacku.

Zapewne tak wiekowe auto dostarczyło Ci dodatkowych przygód i częstych wizyt w warsztatach samochodowych...

Od samego początku podróży, a w zasadzie jeszcze przed jej rozpoczęciem mieliśmy podwyższony poziom adrenaliny dzięki temu starszemu. Rzeczywiście dostarczał wielu dodatkowych przygód i jego przypadki często decydowały o dalszym biegu podróży. Z perspektywy, to jemu zawdzięczamy wiele niesamowitych przeżyć i odczuć dotyczących Australii.

Żeby tak zwiedzać świat, trzeba być chyba trochę szalonym?

To jest dla mnie w zasadzie trudne pytanie. Szaleństwo jest dla każdego czymś innym. Chyba dobrze, że każdy ma coś swojego szalonego, to znaczy ciekawego, coś w czym się realizuje, co daje mu dystans i zmienia perspektywę. Nam pasuje budżetowe podróżowanie, z elementem spontaniczności, do miejsc wciąż mało zatłoczonych, gdzie nad ludźmi dominuje natura.

Podróżowałaś według wcześniej ustalonego planu czy zgodnie z zasadą: „co nam przyniesie nowy dzień”?

Myślę, że i jedno i drugie, tzn. był generalny zarys wyprawy, jednak z powodów niskiego budżetu i przygód jakich dostarczał samochód plan był spontanicznie modyfikowany.

Najwyższym szczytem kontynentu australijskiego jest Góra Kościuszki. Czy podczas swojego pobytu w Australii spotkałaś się z innymi polskimi śladami?

Co bardzo ważne, spotkaliśmy się z żywymi polskimi śladami, ze wspaniałymi ludźmi, Polakami, którzy służyli nam wielką pomocą i gościnnością, w Sydney, Melbourne i Adelajdzie. To również dzięki nim tworzyła się nasza przygoda. Dzisiaj w Australii żyje około stu siedemdziesięciu tysięcy obywateli pochodzenia polskiego. Rzeczywiście najbardziej znaną postacią jest Paweł Edmund Strzelecki, który zdobył najwyższą górę Australii i ochrzcił ją Górą Kościuszki. Prowadził liczne badania geologiczne w Australii i na Tasmanii. Odkrył złoża złota. Nazwiskiem Strzeleckiego nazwano w Australii kilkanaście obiektów, które można spotkać podróżując po Australii lub też można natknąć się na rzekę, jezioro, szlak odkryty przez Strzeleckiego i przez niego nazwany.

Kangury i koale to wszystkim znane symbole Australii. Ty jednak spotkałaś pingwiny...

Australia to kraj fascynującej przyrody. Najbardziej rzeczywiście kojarzy się nam z endemicznymi torbaczami. Jednak zaskakuje na każdym kroku. Pingwiny małe, których kolonia żyje na Wyspie Filipa, w pobliżu Melbourne to przykład fascynującej niespodzianki przyrodniczej.

Podczas podróży miałaś też bliskie spotkanie z emu...

O bliskim spotkaniu z emu trzeba przeczytać w książce. Mówiąc cokolwiek zdradzę zbyt wiele. Mogę tylko powiedzieć, że będąc w Australii spodziewaliśmy się zobaczyć emu i tak też się stało wielokrotnie. Nie zakładaliśmy jednak aż tak bliskiego spotkania, które miało miejsce w drodze z południowego wybrzeża do outbacku.

A widziałaś diabła tasmańskiego?

Jadąc do Australii bardzo chciałam zobaczyć diabła tasmańskiego. Dziś nie występuje już na kontynencie, a tylko na Tasmanii, lecz i tam ma status gatunku zagrożonego. W czasie wycieczki po wyspie odwiedzaliśmy małe ogrody zoologiczne, gdzie mieliśmy pierwszy kontakt z tym choć na pozór milusińskim, to jednak bardzo drapieżnym torbaczem. Napotkani opiekunowie tych zwierząt, jak i leśnicy raczej przekonywali nas o małej możliwości spotkania z diabłem na wolności. Jednak Australia sprezentowała nam wiele niespodzianek i spotkanie z diabłem tasmańskim na wolności było również jedną z nich.

Czemu zawdzięcza on swoje imię?

Diabeł tasmański swą nazwę zawdzięcza prawdopodobnie imigrantom europejskim, których przerażały nocne odgłosy zwierząt, tym bardziej w zestawieniu z ich ubarwieniem: czarna sierść, czerwona wewnętrzna strona uszu, różowawy ryjek i ostre białe zęby.

Jakie wrażenie zrobiła na Tobie Wielka Rafa Koralowa? Nie bałaś się nurkować wśród rekinów?

Myślę, że dla każdego, kto nurkuje Wielka Rafa Koralowa stanowi pewne marzenie. Tak było z nami. Na etapie podróży, kiedy udało nam się przejechać outback i zbliżyliśmy się do północnej części wschodniego wybrzeża, wiedzieliśmy już, że ta rafa jest w zasięgu ręki. Pierwsze nurkowanie dla mnie było po prostu niewyobrażalnym zachwytem. Musiałam pamiętać o oddychaniu, ponieważ widok zapierał dech w piersiach. W czasie pierwszych zejść pod wodę nie znałam jeszcze obserwowanych gatunków koralowców, i ryb. Jednak w czasie rejsu i kursu, w którym uczestniczyliśmy nauczyliśmy się o tym podwodnym świecie Wielkiej Rafy Koralowej. Także kolejne zejścia pod wodę były tym ciekawsze, gdy już wiedzieliśmy, czego wypatrujemy, również rekinów rafowych, które nie są groźne dla człowieka.

Co wolisz: wybrzeże Australii czy australijski outback?

W moim odczuciu australijski outback jest miejscem magicznym i niepowtarzalnym. Widok czerwonej ziemi wokół siebie, uczucie gorąca, pustki, Krzyża Południa na rozgwieżdżonym niebie, świadomość oddalenia od miast Australii i reszty świata i oczywiście kultury aborygeńskiej związanej z tą ziemią umożliwiają odczucia wręcz tajemnicze. Wybrzeże, oczywiście to niezurbanizowane, niekończące się puste plaże, ogrom oceanu, świadomość jego siły i tajemnicy życia, jakie kryje pod powierzchnią są również magiczne. Myślę jednak, że outback przez to, że bardziej niedostępny i wyjątkowo australijski pozostał mi bliższy.

A jak radziłaś sobie z upałami panującymi szczególnie w centralnej Australii?

Duże zapasy wody to zasada numer jeden. Zawsze trzeba zabierać ze sobą kilka kanistrów wody pitnej i spożywać ją regularnie zanim jeszcze ogarnie człowieka uczucie pragnienia. Poza tym oczywiście należy unikać bezpośredniego kontaktu ze słońcem w środku dnia. Oczywiście w centralnej Australii nie jest łatwo o cień z powodu braku lub ubogiej roślinności. My najgorętszą część dnia staraliśmy się spędzać w jadącym samochodzie i chłodziliśmy się pędem powietrza, gdyż nie mieliśmy luksusu w postaci klimatyzacji. Jak tylko była taka możliwość zajeżdżaliśmy do klimatyzowanych pomieszczeń, barów lub centrów informacyjnych przy parkach przyrody, czasem też do basenów na polach kampingowych. Oczywiście

upał dokuczał, tym bardziej, im bardziej zmierzaliśmy na północ i zwiększała się wilgotność powietrza.

Czy planując taką podróż jak Twoja, trzeba być bogatym? Czy może pracowałeś gdzieś po drodze, aby móc utrzymać się podczas wyprawy?

Myślę, że dziś podróżowanie jest łatwiejsze niż kiedykolwiek wcześniej i możliwe dla każdego. Wielu ludzi podróżuje za naprawdę skromne środki. Istnieją portale umożliwiające wyszukanie przelotów i kwater za pół darmo. My wyjeżdżaliśmy do Australii z kwotą około półtora tysiąca dolarów australijskich, które pozwalały nam na egzystowanie przez pierwsze kilka tygodni w Sydney. Pracowaliśmy dzięki wizie Working Holiday Maker, którą uzyskaliśmy w Ambasadzie Australii w Warszawie i dzięki niej mogliśmy podjąć legalną pracę, której znalezienie okazało się dość proste. Po trzech miesiącach pracy, zdecydowaliśmy, że wystarczy nam środków na planowaną podróż. Jak się później okazało, budżet był trochę niedoszacowany i długi odrabialiśmy pracując ponownie w Sydney po zatoczeniu pętli. Zdecydowaliśmy się na takie rozwiązanie, mimo, iż możliwości pracy pojawiały się w czasie naszej podróży, wiedząc, że zarobki oferowane w Sydney, były znacznie korzystniejsze.

Mówi się, że jak połknie się podróżniczego bakcyla trudno jest przestać. Czy zatem chciałabyś wrócić do Australii?

Australia z pewnością należy do miejsc bardzo bliskich mojemu sercu, tych, których chciałabym doświadczyć ponownie. Chcielibyśmy poznane miejsca pokazać naszym córkom, a jednocześnie poznać te, do których nie dotarliśmy w czasie pierwszej podróży, szczególnie Australię Zachodnią.

Podczas wizyty w Radzynie będziesz promowała swoją książkę pt. „Australia”. Odbędzie się otwarte spotkanie z mieszkańcami naszego miasta, jak również poprowadzisz warsztaty podróżnicze dla dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 2. Co będziecie na nich robili?

Bardzo się cieszę, że spotkam się z mieszkańcami Radzyna, jak i z młodzieżą szkolną. Wiem, że obie grupy odbiorców mają duże doświadczenie w spotkaniach z autorami i ludźmi podróży, także mam nadzieję, że moja opowieść przypadnie Wam do gustu. Będę prezentowała książkę „Australia”, opowieść, z której powstała. Z młodzieżą spotkanie będzie miało charakter bardziej warsztatowy. Do rozmowy o Australii posłuży nam zarówno prezentacja jak i australijskie pamiątki. Wykonamy również własne pamiątki, w postaci malowideł naskalnych czy bumerangów.

Zatem już nie możemy się doczekać. Tymczasem dziękuję Ci za wywiad oraz za to, że przyjąłeś moje zaproszenie do Radzyna.

Bardzo serdecznie dziękuję za wywiad i zaproszenie, które jest dla mnie ogromnym zaszczytem. Do zobaczenia.

Jest to podróż dla zwykłych ludzi

Barbara Dmochowska – podróżniczka, autorka książki „Australia”, wydanej w serii „Biblioteka Poznaj Świat” gościła w Radzynie 6 i 7 czerwca. W czwartkowy wieczór spotkała się z mieszkańcami Radzyna w sali balowej korpusu głównego pałacu Potockich, by zabrać ich starym – 17-letnim Subaru w pełną niespodzianek podróż wokół wschodniej połowy kontynentu. Była to – jak podkreślił Robert Mazurek 9. już odsłona „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” organizowanej przez Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO wspólnie z Radzyńskim Stowarzyszeniem Inicjatyw Lokalnych.

Podróż, która stała się kanwą do napisania książki, Barbara Dmochowska odbyła z mężem w latach 2000-2001, tuż po ukończeniu studiów. Wcześniej wiele wędrowali, ale ta wyprawa miała być najdalsza i najciekawsza. I taka była. – Australia to wspaniały kraj, szybko się w nim zakochaliśmy – stwierdziła podróżniczka, wyrażając też satysfakcję, że po raz pierwszy przychodzi jej mówić o tym kraju w pałacu.

W określeniach kontynentu kilkakrotnie pojawiała się określenie pustkowia. Dotyczyło nie tylko krajobrazu wnętrza Australii, ale także zaludnienia. Kraj o powierzchni 7 mln km² (22 razy większy od Polski) ma zaledwie 20 mln mieszkańców, średnio więc wypadają 3 osoby na km². Większość żyje na wybrzeżu, wewnątrz kontynentu trudno spotkać człowieka.



Fot. Paweł Żochowski

Samo zrobienie pętli przez 5 stanów Australii zajęło 82 dni, w czasie których przebyli 18 tysięcy kilometrów. Jednak najpierw musieli przez 4 miesiące zapracować na ten wypad, a potem – na spłatę długów.

– Bardzo łatwo znaleźliśmy pracę w Sydney, i to biurową, lekką. Mogliśmy w wolnych chwilach zwiedzać piękne miasto, w weekendy zaś okolicę z parkami narodowymi, wspaniałymi plażami – opowiadała Barbara Dmochowska. Dłuższą chwilę poświęciła Górom Błękitnym, które swą nazwę zawdzięczają barwie poświaty, jaką wytwarza w gorącym powietrzu eteryczny olejek z rosnących tam eukaliptusów. Podczas tych wypraw zaprzyjaźnili się z kangurami, a raczej z jednym (spośród 60), bardzo popularnym gatunkiem – kangurami szarymi, których w Australii jest 300 tysięcy. Są małe, niegroźne dla otoczenia, nie boją się ludzi. Radziła ostrożność w spotkaniach z największym gatunkiem – kangurami czerwonymi, które są świetnymi bokserami. Ale nawet te szare bywają niebezpieczne – gdy jako zwierzęta nocne, zwabione światłami samochodów skaczą przed maską samochodu w czasie jazdy. Nie zabrakło również koali.

– Wkrótce doświadczyliśmy całego bogactwa natury – w spotkaniach nie tylko z kangurami, ale także innymi charakterystycznymi dla tego kontynentu przedstawicielami fauny – podróżniczka prezentowała zdjęcia waranów, różnych gatunków papug, sympatycznej kukabury chichotliwej, która swą nazwę i sympatię ludzi zawdzięcza głosowi podobnemu do ludzkiego śmiechu.

Nie zabrakło również zdjęć sympatycznego koali. – Eukaliptusy, którymi się żywią są mało energetyczne, więc zwierzęta przesypiają 20 godzin na dobę, trudno spotkać koalę z otwartymi oczami.

Dłuższą chwilę poświęciła najwyższemu szczytowi Australii – Górze Kościuszki, którą bardzo łatwo „zdobyć”. Na szczyt o wysokości 2228 m n.p.m. wiedzie dawna droga żwirowa. Jak wiadomo nazwę swą zawdzięcza polskiemu podróżnikowi Pawłowi Edmundowi Strzeleckiemu, który w Australii jest bardzo szanowany, jego imię noszą australijskie jeziora, rzeki, góry. Za co Australijczycy są mu tak wdzięczni? – Nie tylko stworzył mapę kontynentu, ale także odnalazł wiele złóż naturalnych, m.in. złota i miedzi.

Ciekawa jest historia wyboru miasta na stolicę kraju. Gdy najbardziej znane metropolie – Sydney (mające charakter metropolitalny) wiktoriańskie – angielskie Melbourne spierały się o prymat, wygrała Canberra – miasto zbudowane od zera, według wcześniej stworzonej planszy.

Szczególną atrakcją pierwszego etapu podróży była Tasmania. Na wyspę płynie się z Melbourne 6 godzin na silnie kołyszącym się promie. Podróżniczka podkreśliła, że na Tasmanii nie ma muszek-owocówek, stąd istnieje ścisła kontrola przewozu owoców i warzyw na wyspę.

Podróżnicy spędzili tam tydzień. Szczególnym powodem odwiedzin wyspy była ciekawość pani Barbary. W dzieciństwie nazywano ją w rodzinie żartobliwie diabłem tasmańskim. Chciała poznać się, bo zwierzę z wyglądu robi wrażenie miłego, ale jest agresywny, ma najsilniejszy szczęk wśród ssaków i odstrasza nocnym wyciem. Dlatego jest bohaterem negatywnej legendy.

Na Tasmanii polskim podróżnikom udało się spotkać kolczatkę i dziobaka – endemiczne (występujące tylko tam) ssaki, które wylęgają się z jaj.

Po powrocie z Tasmanii na kontynent podróżnicy rozpoczęli wyprawę drogą wiodącą przez całą Australię – z południa na północ. Trasa ma długość 3000 km, wiedzie przez pustynne, płaskie krajobrazy. – Dużo niczego wokół, zwierzęta, szczególnie padłe – potracone przez pędzące pociągi drogowe – ogromne, wieloprzyczepowe ciężarówki. I stada orłów padlinożerców, zrywających się do lotu, spłoszone przez nadjeżdżający samochód – takie obrazy pozostały w pamięci podróżniczek.

Zaskoczeniem w drodze było miasto Coober Pedy, zbudowane... pod ziemią. Gdy na powierzchni panują nieznosne upały latem dochodzące do 50 stopni w cieniu, w podziemiu – jest to komfortowa temperatura 25 stopni. Miasto zbudowali żołnierze przyzwyczajeni do życia w okopach, w miejscu, gdzie odkryto złoża opali. Jest to wyjątkowy tygiel narodowościowy. W kilkutyśycznym mieście żyje 45 narodowości.

Podróżniczka mówiła również o rdzennych mieszkańcach kontynentu – aborygenach. Po dotarciu Europejczyków do Australii ich populacja zmniejszyła się z 300 do 20 tys. Pamiątką ich aktywności przed tysiącami lat są naskalne rysunki. Niedawno, bo dopiero po 1967 r. uznano ich za obywateli, ale nadal żyją na marginesie społeczeństwa australijskiego, nie są negatywnie nastawieni do innych, ale starają się unikać z nimi kontaktu.

Jedną z ikon Australii jest święta góra aborygenów Uluru, znana jako największy monolit świata, mająca 300 m wysokości i 9 km w obwodzie. Skala jest czerwona od tlenku żelaza. O wschodzie i zachodzie słońca obserwować można na niej szczególną grę światła. Dla tego widowiska zjeżdżają tu liczni turyści.

W północnej części kontynentu pojawiają się wielbłądy, sprowadzone z Azji, gdy planowano budowę kolei obok drogi. Tego jednak zaniechano, a wielbłądy zostały i rozmnożyły się tak, że obecnie żyje ich na dziko około miliona. Istniał nawet pomysł wybicia ich ze względu na to, że produkują olbrzymie ilości metanu.

Pustynny krajobraz zmienia się po przekroczeniu zwrotnika. Na północy kontynentu pojawiają się deszcze, z nimi bujna zieleń o tysiącach odcieni. Ale... – Bycie w upale to nic w porównaniu do bycia w upale wilgotnym, rzeki wypełnione wodą, przelane drogi, które powodują grzęźnięcie samochodów, także potężnych ciężarówek wypełnionych towarem.

Inną ciekawostką Australii jest zbudowany w poprzek kontynentu... płot o długości 5000 km. Ma on oddzielać strefę owiec od strefy psa dingo, które gdy się zbyt rozmnożyły, zjadały owce. Płot ma przerwy tylko w miejscach, gdzie przecinają go drogi – tam wmontowywane są pręty, przez które zwierzę nie może przejść albo... malowane są imitujące pręty pasy.

Zwierzętami charakterystycznymi dla północy Australii są krokodyle – małe słodkowodne, oraz duże słonowodne, które są niebezpieczne dla człowieka. Zaważalne są również termyty, które choć mierzą ok. 2,5 cm wznoszą wysokie budowle i... drażą gałęzie eukaliptusów.

Po pokonaniu 3000 km drogą Stuart Highway polscy podróżnicy dotarli do Darwin – miasta najbardziej wysuniętego na północ, o trudnym klimacie, jedyne go w dziejach Australii zniszczonego – przez historię (Japończyków w czasie II wojny światowej) oraz klimat (huragan), ale odbudowanego, ze względu na to, że wydobywa się tam złoto.

Kolejnym ważnym przystankiem w podróży była Wielka Rafa Koralowa. Podróżniczka mówiła nie tylko o zachwycających podwodnych widokach, ale także o niebezpieczeństwach, jakie w oceanie czyhają na człowieka. A należą do nich rekiny, osy wodne – meduzy, których porażenie grozi paraliżem, wodne prądy rozrywające. – Kąpiel w oceanie jest niebezpieczna. Australijczycy mają wielki respekt dla wody, dzieci uczą się oceanu jak mówienia – stwierdziła Barbara Dmochowska. Po bliskim spotkaniu z Wielką Rafą Koralową polskim podróżnikom pozostała już tylko – ze względu na skończenie się funduszy – pospieszna podróż powrotna wschodnim wybrzeżem na południe i kilka miesięcy odpracowywania zaciągniętych na dokończenie podróży długów.

Barbara Dmochowska zachęcała licznie przybyłych na spotkanie radzynieńców do odwiedzenia Australii. – Jest to podróż dla zwykłych ludzi, jeśli wystarczy namiot bez wygód. Największy koszt to przelot do Australii – przekonywała.

Na zakończenie podróżniczka otrzymała pamiątkę z Radzyna – wydany przez RaSIL Radzyński Rocznik Humanistyczny, który wręczył gościowi „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” Józef Korulczyk.

Anna Wasak

Świat stał się globalną wioską

W Australii wszystko jest na opak: kontynent leży po przeciwnej stronie globu ziemskiego niż my żyjemy, więc gdy u nas jest noc, tam świeci słońce, gdy my mamy zimę, tam panuje lato. Tylko tam można oglądać żywy organizm pamiętający epokę dinozaurów i obserwować ssaki, które rodzą się z jaj. O tych i innych ciekawostkach związanych z kontynentem – krajem, opowiadała uczniom klasy IV b Szkoły Podstawowej nr 2 podróżniczka Barbara Dmochowska podczas warsztatów podróżniczych, które odbyły się 7 czerwca.

Autorka książki „Australia” wydanej w serii Wojciecha Cejrowskiego „Biblioteka Poznaj Świat” gościła w Radzynie na zaproszenia Roberta Mazurka – inicjatora „Radzyńskich spotkań z podróżnikami”, opiekuna Szkolnego Koła Turystyczno-Krajoznawczego PTTK nr 21 przy I LO – oraz Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych. Gości przywitani dyrektor Cezary Czarniak oraz wychowawczynie Elżbieta Chylińska.

Warsztaty podróżnicze okazały się niezapomnianą lekcją geografii, biologii, plastryki, która dała wiele wiedzy, przeniosła uczniów na drugą stronę globu, pozwoliła poczuć się odkrywcami, a nawet... aborygenami.

– Udało mi się napisać książkę z podróży do Australii. Opowiem wam, jak wygląda ten kontynent, może was to zachęci, żebyście sami kiedyś wyruszyli w świat,



Fot. Paweł Żochowski

na przykład do Australii, która jest cudownym miejscem na Ziemi – rozpoczęła podróżniczką.

W pierwszej części zaprezentowała kontynent – jego florę i faunę, krajobrazy, klimat, opowiedziała o mieszkańcach, nie tylko rdzennych – aborygenach, których jest niewielu, bo ok. 30-40 tys. w 20-milionowej społeczności, ale i mozaice innych narodowości, które zamieszkują kontynent. – Dopiero w 1967 r. aborygeni otrzymali prawa obywatelskie, teraz większość mówi

po angielsku, ubiera się w chińskie ubrania, jeździ samochodami, ma anteny satelitarne. Młodzi wolą wyjeżdżać do miast, żyć jak my. Świat stał się globalną wioską – mówiła Barbara Dmochowska. Coraz mniej z nich żyje tradycyjnie w wioskach, polują, tworzą bumerangi i mówią w dialektach, których jest ok. 250. Niektórymi posługuje się kilka osób.

– Na kontynencie, oderwanym od Antarktydy zachowała się specyficzna flora i fauna, tu występują endemiczne gatunki zwierząt i roślin, niespotykane gdzie indziej na świecie – tłumaczyła podróżniczka. Prezentowała przy tym fotografie torbaczy – (m.in. bardzo popularnych kangurów i koali, ale też pokazywała, jak wyglądają oposy i wombaty), stekowców – ssaków, które rodzą się z jaj jak kolczatki i dziobaki. Mówiła o spotkaniach z krokodylem oraz prezentowała gekony, iguany (warany). Ale była mowa też o ptakach – wszechobecnych papugach, symbolu Australii – emu. Trudno wyobrazić sobie ten kraj bez eukaliptusów, których rośnie tam ponad 700 gatunków.

Podróż samochodem przez środek kontynentu z południa na północ pozwoliła pokazać zmienność australijskich krajobrazów – pustynnych, półpustynnych wewnątrz kontynentu po bujną zieleń o tysiącach odcieni na północy. Barbara Dmochowska zabrała słuchaczy na Górę Kościuszki i przy okazji opowiedziała o polskim podróżniku – Pawle Strzeleckim, który przez 10 lat wędrował po świecie, badał poszczególne kontynenty, tworzył mapy, nadawał imiona odkrywanym obiektom geograficznym, znajdował złoża bogactw naturalnych.

Barbara Dmochowska z zachwytem wspominała nurkowanie w Pacyfiku w celu obejrzenia z bliska Wielkiej Rify Koralowej – najstarszego i największego organizmu żywego Ziemi: widoczna jest z kosmosu i pamięta czasy dinozaurów.

Okazało się w trakcie rozmowy, że uczniowie czwartej klasy szkoły podstawowej wykazywali się sporą wiedzą z przyrody – zarówno z geografii jak i biologii. Uczniowie podczas spotkania z podróżniczką mieli możliwość nie tylko słuchać o Australii, oglądać zdjęcia, ale i jej „dotykać”, próbować wcielić się w tamtejszych mieszkańców.

Barbara Dmochowska zabrała ze sobą wiele rekwizytów – pamiątek z australijskiej podróży. Był wśród nich kapelusz buszmeński, w którym maż pani Barbary

podróżował po Australii w skwarze i w deszczach. Każdy mógł się przymierzyć do rzutu bumerangiem i do gry na didgeridoo – instrumencie wykonanym przez termity. Tak – bo zrobiony jest z konarów eukaliptusów, wydrążonych wewnątrz przez termity. Jednak gra na instrumencie okazała się bardzo trudna; tylko aborygeni potrafią na nim grać jednocześnie wdychając powietrze i dmuchając w trąbę. Jednej z dziewcząt udało się wydobyć dźwięk z trąby. Barbara Dmochowska przywiozła ze sobą zielniki z roślin zebranych w Australii i czerwony piasek z okolic świętej góry aborygenów Uluru.

Uczniowie popróbowali też uprawiania innej sztuki aborygenów – malarstwa. Mieli do dyspozycji – jak rdzenni mieszkańcy Australii przed wiekami – 4 farby w kolorze białym, czarnym, żółtym i brązowym. Nie było problemu z ozdobieniem metodą kropkową papierowych bumerangów. Trudniejsza była nauka posługiwania się pismem obrazkowym. Uczniowie mieli „na skale” – dużym arkuszu szarego papieru – przedstawić informację, czyli kilkudzaniową opowieść. I co ciekawe – w kilku grupach rysunek był na tyle czytelny, że innym udało się odczytać zawartą na nim informację.

Spotkanie zakończyło się zrobieniem wspólnego zdjęcia. Na pewno będzie przypominało ciekawą wyprawę do Australii, może w przyszłości zainspirują kogoś z tej grupy do odwiedzenia tego „niezwykłego miejsca na ziemi”.

Anna Wasak



Fot. Paweł Żochowski



Krystyna Choszcz – prezes Fundacji Freespirit, mama 3 córek. Najstarsza z nich – Kinga (pseudonim podróżniczki „Freespirit”), która wraz ze swym partnerem zrealizowała podróż autostopem dookoła świata, podobno od mamy zaraziła się podróżniczą pasją. Po tej podróży powstała książka „Prowadził nas los”. Potem kolejna podróż Kingi i „Moja Afryka” nagrodzona Bursztynowym Motylem.

Krystyna Choszcz z pierwszego wykształcenia i talentu jest plastyką, z pasji zostaje pedagogiem. To 25 lat szczególnej podróży. Realizacja autorskiego programu wychowania artystycznego... wystawy, przedstawienia chyba na wszystkich scenach gdańskich teatrów, reprezentowanie Polski na Światowych Finałach Odysei Umysłu w kilku Stanach USA, Eurofestival w Czelabińsku, wycieczka z wychowankami na granicę Europy z Azją na Uralu, workcampy z wolontariuszami z różnych stron świata, międzynarodowe wymiany dzieci i młodzieży, letnie obozy w Uzbekistanie. I udział wraz z dwiema uczennicami w programie edukacyjno-charytatywnym w Tanzanii.

Śmierć Kingi, wolnego ducha, w trakcie odbywania wymarzonej podróży po Afryce stała się zwrotem w jej życiu. Powstaje Fundacja Freespirit. Krystyna Choszcz realizuje podróż śladami Kingi i kolejne wyjazdy do Burkina Faso i Ghany, by zamieszkać w rybackiej miejscowości Moree, by lepiej poznać tamtejsze życie i różne aspekty kultury – kolory Afryki.

Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim

Jubileuszowa, 10. edycja „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” miała wyjątkową formę. Od 21 do 28 lipca trwał „Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim”. Dla mieszkańców miasta i gminy Radzyń była to szczególna okazja poznania kolejnego kontynentu – tym razem nie tylko z opowieści, slajdów, filmów, przez rekwizyty, ale i kontakt z rdzennymi jego mieszkańcami. W tym czasie przebywało tu

wraz z opiekunami sześcioro dzieci z Ghany, które spotykały się z mieszkańcami miasta i gminy, pokazywały swoją kulturę, uczyły gry na bębnach, śpiewów i tańców, ale także odpoczywały, poznawały miasto i okolicę.



Fot. Robert Mazurek

Organizatorzy przedsięwzięcia to: Oddział PTTK w Radzynie Podlaskim, przy współpracy z Radzyńskim Stowarzyszeniem Inicjatyw Lokalnych, Szkolnym Kołem Krajoznawczo-Turystycznym PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim, Radzyńskim Ośrodkiem Kultury oraz Urzędem Gminy Radzyń Podlaski.

Zostawcie nam swój uśmiech

„Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim” zainaugurowany został w poniedziałek 21 lipca spotkaniem z wójtem gminy Radzyń Wiesławem Mazurkiem, gdyż większość punktów programu pobytu gości z Ghany miała miejsce na terenie gminy. Młodzi Afrykańczycy z miejsca oczarowali pozytywną energią, radością. – Zostawcie nam swój uśmiech – powiedział podczas spotkania wójt, który przyznał, że choć Ghana leży daleko od Polski, jest mu bliska dzięki przyjacielowi z czasów studiów medycznych w Lublinie – Emmanuelowi, który ciągle się uśmiechał, dlatego nigdy nie był sam – wspominał wójt.



Fot. Robert Mazurek

Program „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim” był bardzo bogaty. Cztery dni w Radzyńskim Ośrodku Kultury trwały warsztaty taneczno-bębniarskie. Ich podsumowaniem był efektowny występ na pl. Wolności, podczas którego zaprezentowane zostały tradycyjne tańce afrykańskie wykonywane przez gości, jak i wspólnie z młodymi radzynieściami. Występ bardzo się spodobał radzynieściom, którzy nie tylko tłumnie przybyli, nagradzali wykonawców gorącymi brawami, ale po występie trudno było się im rozstać z sympatycznymi Afrykańczykami.

Goście z Ghany zwiedzili miasto i okolicę, odbywali wycieczki m.in. bryczką do lasu na jagody, co stanowiło nie lada atrakcję, dzień spędzili nad jeziorem Firlej, rozegrali zawody sportowe-rekreacyjne z mieszkańcami Radzyna i gminy Radzyń. – Afrykańczycy byli w nich bezkonkurencyjni – większość konkurencji wygrywali w cuglach – skomentował Robert Mazurek. Wielką atrakcją była dla nich nauka jazdy rowerem, jazda na deskorolkach. Poznawali nowe smaki, dzięki zwiedzeniu Radzyńskiej Spółdzielni Mleczarskiej „Spomlek” rozsmakowali się w serach, których wcześniej nie jedli. W Zespole Szkół w Białej przeszli kurs komputerowy. – Wprawdzie mają w programie szkolnym informatykę, ale uczą się jej „na sucho” – jedynie z podręczników – dodaje organizator „Radzyńskich spotkań z podróżnikami”.



Fot. Robert Mazurek

Spotkanie z Afryką

W programie „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim” nie zabrakło tradycyjnego spotkania z podróżnikiem i barwnej opowieści o Afryce. Krystyna Choszcz, która do Radzyna przyjechała z grupą dzieci z zespołu taneczno-bębniarskiego „Freespirit”, spotkała się z mieszkańcami Radzyna i gminy Radzyń 24 lipca. Tym razem – w Izbie Regionalnej w Białej, która ledwo mogła pomieścić chętnych do wysłuchania. Samo spotkanie było nietypowe. Uczestniczyły w nim dzieci z Ghany wraz z opiekunem. Tak więc oprócz opowieści, pokazów slajdów mieliśmy grę na bębnach, tańce, śpiewy oraz wiadomości o życiu codziennym w Afryce – z pierwszej ręki.

Gościem każdego dotychczasowego spotkania był autor tomu wydanego w serii Wojciecha Cejrowskiego „Biblioteka Poznaj Świat”. „Moja Afryka” to książka wydana po śmierci autorki – Kingi Choszcz, na podstawie prowadzonego przez nią dziennika z podróży. Mama zmarłej na malarię mózgową młodej podróżniczki zajęła się nie tylko wydaniem książki, ale również wyruszyła śladami córki do Afryki oraz rozwinęła jej dzieło. Założyła Fundację Freespirit, która w Moree prowadzi bibliotekę oraz zespół taneczno-bębniarski pod tą samą nazwą – „Freespirit”. Jego członkowie gościli w naszym mieście w ramach „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”.

Modlili się śpiewem i tańcem

27 lipca goście z Ghany uczestniczyli we Mszy św. w kościele Świętej Trójcy. Zespół „Freespirit” odśpiewał – i można powiedzieć: odtańczył – dwie pieśni w czasie dziękczynienia po komunii, a po zakończonej liturgii dał krótki koncert.

Po kilku taktach wielu słuchaczy utworzyło wokół zespołu ciasny krąg, aby nie tylko słyszeć, ale i widzieć – radosne twarze dzieci o wielkich, ufnych oczach, rozjaśnione szerokim uśmiechem, barwne stroje, rytmiczne ruchy tancerek. Koncert składał się z kilku pieśni, wykonanych w rytm bębnow tak głośno, że zdawało się, iż mury świątyni drżą. Ale ich rytm dziwnie porywał serca.



Fot. Robert Mazurek

– Wykonane pieśni miały charakter religijny, Afrykańczycy w ten sposób dziękują Panu Bogu za wszystko, wypraszają łaski takimi modlitwami – żywołowymi, radosnymi. Podczas nabożeństw tańczą – tłumaczy Krystyna Choszcz – założycielka i prezes Fundacji Freespirit. Podróżniczka dodaje, że Ghana, skąd dzieci pochodzą, jest bardzo religijnym krajem, przeważa tam katolicyzm, choć są też inne wyznania. Ich ekspresja religijna jest inna od naszej, zawiera elementy tradycji afrykańskiej. – Nawet na pogrzebach są radosne, rytmiczne śpiewy i tańce. Wprawdzie pierwszego dnia oplakują zmarłych, ale potem, gdy godzą się z tym, że dusza odchodzi i jest spokojna, wraca nastrój radości.



Fot. Paweł Żochowski

Powinniśmy się od nich uczyć pogody ducha

– Myślę, że „Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim” okazał się bardzo potrzebnym i udanym przedsięwzięciem. Młodzi Afrykańczycy podbili serca mieszkańców Radzyna i okolic – podsumowuje Robert Mazurek, inicjator i główny organizator zarówno cyklu spotkań z podróżnikami jaki i pobytu gości z Afryki w Radzynie. – Najważniejszym dowodem było to, że wszędzie, gdzie się pojawili goście z Ghany, towarzyszył im tłum radzynian. Nawet w poniedziałek 28 lipca o godzinie 6.00 rano, gdy wyjeżdżali, przyszło spore grono osób, które chciały ich pożegnać, wyrazić swoją sympatię. To z jednej strony wyraz chęci poznania innych kultur, ale także – potrzeba bycia z naprawdę radosnymi, pogodnymi, budzącymi sympatię Afrykańczykami.

Po krótkiej chwili refleksji dodaje: – Oni nic nie mają, a potrafią cieszyć się życiem. My, którzy w Polsce, w porównaniu z nimi mamy jak u Pana Boga za piecem, powinniśmy się od nich uczyć radości i pogody ducha.

„Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim” mógł się odbyć dzięki finansowemu wsparciu ze strony firmy LUKMAN Multimedia, Banku Spółdzielczego w Radzynie Podlaskim oraz Spółdzielczej Mleczarni „Spomlek” w Radzynie Podlaskim. Nieocenionego wsparcia przedsięwzięciu udzielili również poseł Jerzy Rębek oraz wójt gminy Radzyna Podlaska Wiesław Mazurek.

Anna Wasak

Gdyby świat był sprawiedliwy, tam mógłby być raj na ziemi

Już od dwóch lat odbywają się „Radzyńskie spotkania z podróżnikami”. 24 lipca miało miejsce spotkanie jubileuszowe, poświęcone Afryce – z wielu względów nietypowe. Na zaproszenie Roberta Mazurka przybyła do Radzyna Krystyna Choszcz. Nie sama, bo z dziecięcym zespołem „Freepirit” z miejscowości Moree w Ghanie. Podczas spotkania zebrani mogli nie tylko wysłuchać opowieści, obejrzeć zdjęcia, filmy, ale wysłuchać gry na bębnach, obserwować tańce afrykańskie.

Gościem każdego dotychczasowego spotkania był autor tomu wydanego w serii Wojciecha Cejrowskiego „Biblioteka Poznaj Świat”. „Moja Afryka” to książka wydana po śmierci autorki – Kingi Choszcz, na podstawie prowadzonego przez nią dziennika z podróży. Mama zmarłej na chorobę mózgową młodej podróżniczki zajęła się nie tylko wydaniem książki, ale również wyruszyła śladami córki do Afryki oraz rozwinęła jej dzieło. Założyła Fundację Freepirit, która w Moree prowadzi bibliotekę oraz zespół taneczno-bębniarski pod tą samą nazwą – „Freepirit”. Jego członkowie gościli w naszym mieście w ramach „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”.

Kinga Choszcz pięć lat wędrowała po świecie autostopem. Zawędrowała też na Wybrzeże Kości Słoniowej. Tam, poruszona losem dziewczynki – Malaiki, która ciężko pracowała w jednym z barów, wykupiła ją. Potem odwiozła dziewczynkę do jej rodzinnej miejscowości Moree w Ghanie. – Córka wyznawała zasadę, że jeśli pomoże się nawet jednej tylko osobie, to świat stanie się lepszy – wspomina jej matka.

Po śmierci Kingi Krystyna Choszcz powzięła plan wędrowania jej śladami. Poleciała do Ghany, do Moree. Docierała do miejsc utrwalonych na fotografiach – ulic, barów, bazarów, odnajdowała uwiecznionych na zdjęciach ludzi. Czasem zdarzyło się, że miejsce nieco się zmieniło – gliniany dom rozplynął się podczas ulewy, dzieci podrosły.

Słuchacze wybrali się z panią Krystyną w te miejsca, słuchając opowieści, oglądając zdjęcia i filmy.



Fot. Paweł Żochowski

Moree to 30-tysięczne miasto rybackie położone malowniczo nad Zatoką Gwinejską. – Gdyby świat był sprawiedliwy, tam mógłby być raj na ziemi – skomentowała podróżniczka fotografie przedstawiające wybrzeże: błękitne niebo, pofalowana powierzchnia oceanu, złocista plaża ocieniona palmami – jak z reklamy biura podróży. Jednak inne zdjęcia pokazywały życie codzienne: brzeg pełen rybackich łodzi, przy których uwijali się rybacy i ich rodziny, miasto – z jedną

utwardzoną ulicą, bazarem, wędzarniami ryb przy domach, budynki wzniesione z gliny, ciężko pracujące dzieci – opiekujące się młodszym rodzeństwem, dźwigające na głowach pojemniki wypełnione wodą tak duże, że niejeden z widzów zapewne by ich nie uniósł.

– Czasem rodzice na dłużej opuszczają dom, wówczas wszystkie obowiązki związane z opieką nad młodszym rodzeństwem i ich utrzymaniem spadają na najstarsze z dzieci. Nadmiar obowiązków powoduje, że dzieci uciekają z domu i żyją na ulicy. Wtedy troszczą się tylko o siebie, nie muszą zarabiać na pozostałe rodzeństwo i dbać o nie – dodaje towarzyszący młodym Ghańczykom ich opiekun John Mensah.

– Życie tam toczy się na ulicy – wyjaśniała podróżniczka. Afrykańczycy są towarzyscy, radosni, muzycalni. Gdy ktoś zaczyna grać, tańczyć zaraz zbiera się tłum, w którym panuje „nieuregulowany porządek” – w pierwszych rzędach zawsze jest miejsce dla najmniejszych dzieci.

Film nakręcony w Moree w szkole, do której uczęszczają członkowie zespołu „Freespirit”, napawa optymizmem. Choć warunki są spartańskie, w klasie uczy się setka dzieci, czasem brak ławek, a dach jest dziurawy jak sito, dzieci są pilne, chętnie chodzą do szkoły i się uczą. Potrzebę nauki zaczynają rozumieć również rodzice. Emmanuel, który przebywał w Radzynie, jest zdolnym i pilnym uczniem, będzie się uczył w szkole, stanowiącej odpowiednik naszego technikum. – Przed egzaminami uczył się tak intensywnie, że nie wracał na noc do domu, spał w szkole na ławce po 2-3 godziny – opowiada John.

Problemem jest znalezienie nauczycieli do wielu szkół. Ich pensja zależy od tego, w jakiej szkole uczą. Jeśli są tam złe warunki, mało wynosi również wynagrodzenie nauczyciela, więc zdarzają się i tacy „z łapanki”.



Fot. Paweł Żochowski

Krystyna Choszcz podkreśliła na wstępie, że dziś Polakom jest stosunkowo łatwo wybrać się nawet w daleką podróż. Inaczej jest z rdzennymi Afrykańczykami. – Aby dzieci z Ghany mogły przyjechać do Polski, trzeba było zacząć od początku – od sporządzenia aktów urodzenia. A to nie było takie proste. Często trzeba ustalić datę urodzin. Niektóre dzieci mają nawet rok urodzenia wpisany „na oko”. Następny problem to ustalenie imienia i nazwiska – w tym pisowni, bo rodzice są niepiśmienni, imiona i nazwiska różnie wymawiane, trzeba było je również „przełożyć” z języka miejscowego na angielski, który jest językiem urzędowym w Ghanie.

Licznie przybyli na spotkanie słuchacze mieli liczne pytania – o religię, małżeństwa, życie rodzinne, zachęcali dzieci do prezentacji tańców i śpiewów. Była również okazja do zakupienia książek Kingi Choszcz i okolicznościowych pocztówek. Dochód ze sprzedaży zasilił fundusze Fundacji Freespirit, dzięki której dzieci mogły powrócić do domu.

Anna Wasak

Afrykanie mają na głowie cały świat

Wywiad Roberta Mazurka z Krystyną Choszcz, prezes Fundacji Freespirit

„Afrykański tydzień w Radzynie Podlaskim” już za nami. Jak zapamięta Pani czas spędzony w naszym mieście?

Było fantastycznie. Razem z dziecięcym zespołem „Freespirit” z Ghany wzięliśmy udział w całkowicie innym projekcie niż dotychczas. Czas spędzony w Radzynie stanowił dla nas swego rodzaju twórcze wakacje z bardzo ciekawym programem. Z tego też względu bardzo nam się to podobało. Ciekawe było też to, że spaliśmy w szkole (w I LO w Radzynie Podlaskim - przyp. red.), mając pod ręką salę gimnastyczną oraz sprzęt sportowy, czego dzieci u siebie na co dzień nie mają. Ponadto jestem pod wrażeniem piątkowego występu na pl. Wolności, a w szczególności tego, jak polskie dzieci zatańczyły afrykański taniec. To było bardzo przyjemne do oglądania, bo wiem, że nauczenie się afrykańskiego tańca jest bardzo trudne. Dzieci z Ghany ćwiczą praktycznie całe życie – najpierw razem z mamą na plecach, następnie przy różnych okazjach i jeszcze potem na ciężkich treningach. Młodzi radzynianie mieli na naukę tańców kilka dni, tym bardziej jestem pełna podziwu dla nich. Niezapomniane były też zawody sportowo-rekreacyjne, przygotowane perfekcyjnie w każdym momencie. Cudowne było też – co przywróciło moje dawne wspomnienia – spotkanie w Izbie Regionalnej, mieszczącej się w starej szkole w Białej, przygotowane razem z Kołem Gospodyń Wiejskich. Miło było patrzeć jak Panie angażują się w życie społeczności lokalnej, realizując swoje życiowe pasje, a tym samym przypominają kulturę naszych przodków. W dzisiejszych czasach jest to bardzo ważne. Podobną misję realizuje zespół „Freespirit”.

Bardzo miło słyszeć tyle ciepłych słów, przejdźmy może jednak teraz do podróży. Kiedy po raz pierwszy wyjechała Pani do Afryki? W jakich było to okolicznościach?

Do Afryki pierwszy raz wyjechałam zimą 2006 r. Udałam się do Tanzanii z dwiema uczen-

nicami z mojej klasy, biorąc udział w projekcie edukacyjno-charytatywnym.

Dla wielu Polaków, tak przynajmniej mi się wydaje, podróż do Afryki jest porównywalna z wyprawą na księżyc. Nie bała się Pani tam wyjechać?

Do Tanzanii nie, gdyż jest to kraj bardzo rozwinięty turystycznie i przez cały czas jest tam mnóstwo ludzi z różnych stron świata. Zresztą gdybym się bała, to bym nie zabrała tam swoich uczennic. Bardziej bałam się jechać później do Ghany czy na Wybrzeże Kości Słoniowej. Praktycznie wtedy nic nie wiedziałam o tych krajach i miałam w sobie taki naturalny lęk przed nieznanym.

Kieruje Pani Fundacją Freespirit. Dlaczego Pani ją założyła?

Z wielu powodów. W tamtym momencie był to przede wszystkim spontaniczny głos serca. Nie tylko mój, ale również całej rodziny i przyjaciół. Moja córka wyjeżdżając do Afryki nie była ubezpieczona, gdyż po pierwsze było to bardzo drogie, a po drugie Kinga nie wiedziała, na jak długo tam jedzie. Gdy okazało się, że jest chora na malarię mózgową i są potrzebne pieniądze na leczenie, zorganizowaliśmy zbiórkę. Jej partner Radek rzucił szybko taką informację do Internetu. Zaczęły napływać środki z przeznaczeniem na leczenie Kingi, które było bardzo drogie. Po śmierci córki pozostało nam trochę zebranych funduszy i zastanawialiśmy się, co z tym zrobić. W ten sposób wpadliśmy na pomysł założenia fundacji, która pomagałaby dzieciom z miejscowości Moree, z której pochodziła Malaika – dziewczynka wykupiona przez Kingę z niewolniczej pracy. Następnie postanowiliśmy pojechać do Ghany, by zobaczyć ostatnie miejsca odwiedzone przez Kingę, której prochy zostały częściowo rozsypane w oceanie. Kolejnym powodem założenia Fundacji Freespirit była Malaika. Chcieliśmy bardzo jej pomóc, jednak wsparcie tylko jednej osoby nie miało sensu. Bo jak uczyć w szkole, w której tylko jedna osoba ma książki i przybory szkolne? Należało całej klasie kupić podręczniki, a nie tylko jednemu dziecku. W ten sposób zaczęliśmy opieką otaczać większą grupę dzieci.

Czyli można powiedzieć, że śmierć Kingi była punktem zwrotnym w Pani życiu?

Zdecydowanie tak. Do tego czasu pracowałam w szkole i tak naprawdę jeszcze nie planowałam odejść z niej. W związku z nagłą śmiercią Kingi, mając w zasadzie już wymagany wiek, mogłam przejść na emeryturę. Od tego momentu w pełni poświęciłam się pracy w powstałej właśnie Fundacji Freespirit. Zaczeliśmy organizować wyjazdy do Ghany oraz sprawować opiekę nad afrykańskimi dziećmi z miejscowości Moree.

W pewnym sensie jest Pani rozdarta między Polską a Ghaną?

Coś w tym jest. Dużą część mojego czasu zajmuje mi praca na rzecz afrykańskich dzieci, a przecież mam jeszcze rodzinę i wnuczki. Także moje życie wypełnione jest różnymi projektami – projekt „Afryka” albo projekt „Babcia”.

Jaka była Kinga? Proszę opowiedzieć o jej podróżach.

Kinga była urodzona pod znakiem barana i chyba też była uparta jak taki baran. Od dziecka z uporem dążyła do wyznaczonego celu, zawsze potrafiła postawić na swoim, a przy tym była bardzo pracowita, zaradna. Będąc w ósmej klasie, po raz pierwszy samodzielnie pojechała do Niemiec. Zanim jednak do tego doszło, musiała sobie załatwić paszport. Przypomnę

tylko, że były to czasy, gdy w kolejce po paszport trzeba było stać kilka dni. Córka wpadła na pomysł, że powie oczekującym w kolejce, że idzie do mamy. Wszyscy jej uwierzyli, a ona w ten sposób ominęła całą kolejkę i bardzo szybko sama załatwiła sobie paszport.

W swoją pierwszą samodzielną podróż autostopem wyruszyła gdy miała 16 lat. Brała wtedy udział w obozach wolontariackich, najpierw w Polsce, a później już za granicą. W latach 1998-2003 zrealizowała podróż autostopem dookoła świata, opisaną w książce „Prowadził nas los”. Później pojechała jeszcze do Afryki. Zawsze prowadziła szczegółowe pamiętniki, dzięki którym już po jej śmierci zostały wydane książki „Moja Afryka” oraz „Pierwsza wyprawa Nepal”.

A jaka jest Ghana i Moree?

Gdy pojechałam tam pierwszy raz, byłam w szoku. Życie w tym kraju wygląda całkowicie inaczej niż u nas. Pierwsze, co uderzyło mnie, kiedy wysiadłam na lotnisku w Akrze – stolicy Ghany, to gorąco i wilgoć. Potem na każdym kroku obserwujemy kulturę zupełnie odmienną od naszej. Takim pierwszym małym szokiem kulturowym jest spostrzeżenie, że Afrykanie mają na głowie cały świat – ludzie noszą tak wszystko, co się tylko da.

Stolica jest miastem dość ładnym, bardziej cywilizowanym. Natomiast Moree wygląda inaczej. Jest bardzo ładnie położone na wzgórzach. Jednak dochodzi tam tylko jedna asfaltowa ulica, w dodatku urywająca się na początku miejscowości. Potem są już jedynie gliniane drogi. Najpierw szersze, gdzie jeszcze mogą przejechać samochody, a potem już tylko wąskie uliczki, którymi można poruszać się pieszo. No i to życie toczące się na zewnątrz domów. Ludzie robią tam wszystko – myją dzieci, karmią je, gotują pożywienie, wędzą ryby... Całe życie toczy się na zewnątrz, na widoku. Na początku był to dla mnie taki żywy teatr, do którego jednak z czasem się przyzwyczałam.

Fundacja w Moree prowadzi bibliotekę...

Tak, mamy bibliotekę. Przy niej powstał i funkcjonuje dziecięcy zespół „Freespirit”, który jest właśnie ambasadorem „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”.

Proszę coś powiedzieć o zespole?

Zespół „Freespirit” trenuje przez cały rok, jednak gdy zbliża się wyjazd do Polski zajęcia są bardziej intensywne. W projekt zaangażowanych jest około 30 dzieci. W tym roku, ze względu na fundusze, do Polski przyjechało tylko siedem osób, natomiast w ubiegłym było 13. Wyboru dzieci dokonujemy ze względu na charakter pobytu w Polsce. W tym roku na samym początku braliśmy udział w dwóch festiwalach, dlatego pod uwagę braliśmy przede wszystkim talenty muzyczno-bębniarsko-taneczne. Ważne było też zaangażowanie dzieci w bibliotecę oraz w pomoc własnej rodzinie. To właśnie dzieci z zespołu opiekują się naszą biblioteką, gdzie m.in. zamiatają obojczyce, sprzątają, myją stoliki... Dbają też o stroje. Sama ta czynność jest bardzo skomplikowana, bo w Ghanie po każdym występie grubsze stroje muszą być przewietrzone, a pozostałe wyprane. No ażeby coś wyprać, najpierw trzeba przynieść wodę i zorganizować mydło. Dlatego do Polski przyjeżdżają dzieci nie tylko najbardziej utalentowane, ale też najbardziej pracowite i zdyscyplinowane. Muszą też jeszcze umieć dobrze mówić po angielsku.

Czy łatwo jest zorganizować wyjazd afrykańskich dzieci do Polski?

Organizacja przyjazdu zespołu „Freespirit” do Polski była bardzo skomplikowanym procesem. Staraliśmy się o to przez trzy lata i dopiero w ubiegłym roku nam się to udało. Najpierw należało dzieciom wyrobić akty urodzenia, a jeszcze wcześniej uzgodnić z rodzinami, jak naprawdę mają brzmieć ich imiona oraz kiedy dzieci przyszyły na świat. Potem czekaliśmy na akty urodzenia. Jak już je mieliśmy, należało zebrać całą pozostałą dokumentację potrzebną do wyrobienia paszportów. A do tego były potrzebne dokumenty rodziców, którzy nie mają dowodów osobistych tylko posiadają karty do głosowania. Niektórzy rodzice mieli inne nazwiska niż dzieci. Wtedy musieliśmy iść do notariusza by potwierdzić, że dane osoby są rodzicami konkretnego dziecka. Do zdobycia wizy należało przedstawić dokumentację od organizatorów pobytu afrykańskich dzieci w Polsce. Ponadto musieliśmy uzyskać pozwolenie na wyjazd z Ghany, a przy tym udowodnić, że nasza Fundacja prowadzi zespół, który naprawdę działa. Po latach kolonializmu i niewolnictwa Ghanijczycy bardzo się boją, że dzieci zostaną sprzedane w Europie, bądź same uciekną. Naprawdę wszystko sprawdzają, nawet to, czy dzieci trenowały, czy naprawdę potrafią tańczyć.

No i zbieranie wszystkich dokumentów nie jest takie łatwe, jak u nas w kraju. Urzędnicy uważają, że skoro grupa chce wyjechać z Ghany, to znaczy, że ma pieniądze. A skoro ma pieniądze, to jest to powód do tego, żeby poprosić o dodatkową zapłatę za wystawienie kolejnego dokumentu...

Co najbardziej lubi Pani w Afryce?

Tak naprawdę to lubię odpoczywać pod palmami i obserwować, jak występuje zespół „Freespirit”. Bardzo często jeździmy z występami do okolicznych miejscowości, gdzie turyści chętnie do nas przychodzą i robią sobie z dziećmi zdjęcia. Wtedy czuję dumę, że to ja przyczyniłam się do tego, że te dzieci tak super tańczą, że dają coś właśnie ludziom, którzy przyjechali z innych części świata. Lubię też momenty, kiedy po treningu pod palmami dzieci wskoczą sobie do oceanu i kąpią się pod okiem ratowników. Całkowicie mogę się wtedy zrelaksować i obserwować. Szumią palmy, ocean... Piękny to czas.

Czy Afryka, Ghana zmienia się? Jak Pani to widzi z perspektywy swoich wieloletnich wyjazdów na ten kontynent?

Zdecydowanie zmienia się na lepsze. Widać to nawet w samym Moree, w którym spędzam najwięcej czasu. Gdy przyjechałam tam pierwszy raz, to światło było tam tylko czasami. Niedawno w miejscowości tej postawiono mnóstwo dużych solarnych lamp. Powstają nowe stacje benzynowe, sklepy z telewizorami, z przeróżnymi artykułami gospodarstwa domowego. Są też nowe bary, w których można kupić na przykład kiełbasę z grilla, co jeszcze jakiś czas temu było nieosiągalne. No i przede wszystkim zmienia się mentalność Afrykańczyków. W Moree, gdzie 90% mieszkańców trudni się rybołówstwem, coraz trudniej jest wyżyć z tego zajęcia. Dlatego pojawia się większa świadomość potrzeby edukacji dzieci, co pozwala z optymizmem patrzeć na kontynent afrykański.

Dziękuję za rozmowę oraz za to, że przywiozła Pani do nas te wspaniałe dzieciaki.

Ja również bardzo dziękuję, przede wszystkim za wspaniały tydzień spędzony tu w Radzynie Podlaskim. Dla mnie i dzieci z Ghany każdy dzień z Wami był wyjątkowy. Dziękuję

my za opiekę i wszystkie wakacyjne atrakcje – zawody sportowe, las, konie, ognisko, basen, lody... lista długa, którą kończy lekcja wychowania fizycznego na sali gimnastycznej. Zabieramy ze sobą mnóstwo pięknych wspomnień, a zostawiamy uśmiech afrykańskich dzieci z zespołu „Freespirit”.



Dzieci z zespołu „Freespirit” z miejscowości Moree w Ghanie

(stoją od lewej: Stephen Acquah, John Mensah, Salomay Effum, Joana Mensah, Emmanuel Akontsen, Krystyna Choszcz, Mary Amissah i Francisca Kakraba)

Fot. Robert Mazurek

Dziękujemy wszystkim instytucjom, firmom i osobom prywatnym dzięki którym udało się uatrakcyjnić program „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”. Są to /w kolejności alfabetycznej/:

Stanisław Adamowicz /sołtys wsi Biała k. Radzyna Podlaskiego/ – za gościnność i otwarte serce,

Edward Bajko /prezes Spółdzielczej Mleczarni „Spomlek” w Radzynie Podlaskim/ – za umożliwienie podglądania jak z mleka powstaje ser,

Bank Spółdzielczy w Radzynie Podlaskim – za wsparcie finansowe,

Urszula Cybula z Białej k. Radzyna Podlaskiego,

Piotr Czarniak ze Spółdzielczej Mleczarni „Spomlek” w Radzynie Podlaskim,

Mariusz Drozdowski z firmy LUKMAN Multimedia,

Jarosław Ejsmont /sekretarz Urzędu Gminy Radzyń Podlaski/ – za miłe spotkanie w Urzędzie Gminy Radzyń Podlaski,

Bogdan Fijałek /prezes Oddziału PTTK w Radzynie Podlaskim/ wraz z synem

Marcelem – za przygotowanie zawodów sportowo-rekreacyjnych Polska-Ghana,
Aneta Franczuk – za obecność oraz sympatyczne relacje w tygodniku „Słowo Podlasia”,
Leszek Goławski /KUC-LANDIA/ – za wycieczkę bryczkami do lasu,
Beata Gołoś z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Hanna Gołoś – za koordynację czwartkowego pobytu w Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Piotr Gołoś z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Wojciech Grabowski – za logistyczną cierpliwość,
Ewa Graniak-Wosinek i **Artur Wosinek /Dom Makoszy/** – za cudowne chwile w łukiem w rękę,
Ewa Grodzka /dyrektor I LO w Radzynie Podlaskim/ – za bezpłatne udostępnienie szkoły na noclegi oraz możliwość korzystania ze stołówki szkolnej,
Teresa Jaraszek z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Teresa Kalicka z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Grzegorz Karpiński – za organizację kursu komputerowego w Zespole Szkół w Białej k. Radzyna Podlaskiego oraz pyszne lody,
ks. Andrzej Kieliszek /proboszcz parafii Trójcy Świętej w Radzynie Podlaskim/ – za umożliwienie prezentacji afrykańskich pieśni religijnych oraz przeprowadzenie zbiórki na rzecz zespołu „Freespirit”,
Paweł Kiepuszewski z firmy LUKMAN Multimedia,
Tadeusz Kopiński – za pyszne lody,
Józef Korulczyk /prezes Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych/ – za obecność, pomoc w organizacji „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” oraz ufundowanie pamiątkowych medali w zawodach sportowo-rekreacyjnych Polska-Ghana,
Aleksandra Kowalczyk – za pomoc w tłumaczeniu dokumentów przedkładanych do ambasady w celu uzyskania wiz dla dzieci z Ghany,
Aleksandra Lecyk – za obecność oraz sympatyczne relacje w tygodniku „Wspólnota”,
LUKMAN Multimedia – za wsparcie finansowe,
Monika Mackiewicz – za mile spędzony czas w Radzyńskim Ośrodku Kultury oraz sympatyczną relację w dwutygodniku „Grot”,
Michał Maliszewski – za obecność oraz sympatyczne relacje na portalu www.ile-dzisiaj.pl,
Mariola i **Marian Mazur** z dziećmi **Angeliką, Moniką, Różą** i **Sebastianem** – za spontaniczne zaproszenie do swojego mini zoo, otwarte serca i pyszne muffinki,
Wiesław Mazurek /Wójt Gminy Radzyń Podlaski/ – za miłe spotkanie w Urzędzie Gminy Radzyń Podlaski, obecność podczas zawodów sportowo-rekreacyjnych Polska-Ghana, spotkania z podróżniczką Krystyną Choszcz oraz udzielone wsparcie finansowe,
Aneta Mostowiec ze Spółdzielczej Mleczarni „Spomlek” w Radzynie Podlaskim,
Michał i **Jacek Musiatowicz** – za koncert specjalnie dla dzieci z Ghany,
Mirosława i **Waldemar Musiatowicz** z córką **Patrycją** i synem **Łukaszem** – za mile

spędzony wieczór przy pieczonych skrzydełkach, a także liczne atrakcje dla dzieci z Ghany: zjeżdżalnię, trampolinę, rowery, tenis oraz możliwość strzelania z łuku,
Ryszard Mysłowski z Radzyna Podlaskiego,
Jolanta i Andrzej Niedziółka z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Irena i Andrzej Ochnio z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Łukasz Pałucki z firmy LUKMAN Multimedia,
Daniel Pawelec z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Wiesława Pawlina z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Natalia Piasecka – za zumbę,
Andrzej Prokopiuk /dyrektor Zespołu Szkół w Białej k. Radzyna Podlaskiego/ – za udostępnienie pracowni na potrzeby kursu komputerowego,
Redakcjom regionalnych portali internetowych: www.iledzisiaj.pl, www.radzyninfo.pl, www.radzynpodlaski24info.pl, a także gazet: „Słowo Podlasia”, „Wspólnota” i „Grot” – za objęcie patronatem medialnym „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”,
Jerzy Rębek /Poseł na Sejm RP/ – za udzieloną pomoc podczas organizacji „Afrykańskiego tygodnia w Radzynie Podlaskim”, obecność podczas koncertu na pl. Wolności oraz wsparcie finansowe,
Magdalena Siudaj z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Spółdzielca Mleczarnia „Spomlek” w Radzynie Podlaskim – za wsparcie finansowe,
Jan Szczepaniuk z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Dariusz Szczepański z Radzyna Podlaskiego – za konne przejażdżki,
Grzegorz Szram /dyrektor MOSiR/ – za bezpłatne wejściówki na basen,
Grażyna Ślązak z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Agata Wachnik z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Kinga Wardziak z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Anna Wasak – za obecność oraz sympatyczne relacje na portalu www.radzyninfo.pl,
Teresa Wiater z Białej k. Radzyna Podlaskiego,
Zbigniew Wojtaś /dyrektor ROK/ – za pomoc w organizacji warsztatów bębniarskich i afrykańskich tańców oraz występu zespołu „Freespirit” na pl. Wolności w Radzynie Podlaskim,
Marek Wojtyczka – za miłe chwile spędzone na strzelnicy,
Paweł Żochowski – za wspaniałe zdjęcia.

Dzięki Wam ten tydzień naprawdę był afrykański!



Wojciech Cejrowski – urodzony 27 czerwca 1964 r. w Elblągu. Podróżnik, poszukiwacz ginących plemion Amazonii, osobowość telewizyjna, popularny dziennikarz radiowy, pisarz i publicysta, satyryk... a z zawodu cieśla. Studiował w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie i jednocześnie historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie oraz socjologię i archeologię na Uniwersytecie Warszawskim. Cejrowski przerwał naukę, a studiowanie socjologii kontynuował dopiero w 2010 r., kiedy też obronił licencjat i podjął studia magisterskie. Doskonale zna dwa języki obce: hiszpański i angielski, porozumiewa się także po rosyjsku i portugalsku. W telewizji Wojciech Cejrowski pojawiał się po raz pierwszy u boku Wojciecha Manna w programie „Non Stop Kolor”. Współprowadził go od 1992 do 1994 r. Przez następne dwa lata tworzył własny „WC Kwadrans”, który cieszył się 3-milionową oglądalnością. Jednocześnie prowadził program muzyczny „Stajnia...” w TVP1.

Wojciech Cejrowski jest znany przede wszystkim jako podróżnik. Od 20 lat organizuje wyprawy w najdalsze zakamarki naszej planety. Był w 40 krajach na 6 kontynentach. Najczęściej jeździ do Amazonii. Zawsze w konkretnym celu: by ostatnich wolnych Indian ocalić od zagłady i zapomnienia. Tworzy dokumentację ginących plemion i ludów pierwotnych. Wielokrotnie płynął indiańskimi pirogami w głąb dziewiczej puszczy; przez całe tygodnie pozbawiony kontaktu z cywilizacją. A potem mieszkał wśród Indian i żył tak jak oni: budował szałas, chodził na polowania, jadł to co oni lub... razem z nimi głodował. Wszystko po to, by zdobyć i ocalić wiedzę na temat ludów żyjących wciąż w epoce kamiennej.

W latach 1996-1997 zrealizował cykl 30 reportaży z wypraw do Ameryki Południowej – „Podróżnik”. W roku 1997 związał się ze stacją RTL7, gdzie m.in. tworzył talk-show „Piękny i Bestia” wspólnie z Alicją Resich-Modlińską. Od 2006 r. Cejrowski prowadzi w TVP2 relacje ze swoich podróży w cyklu „Boso przez świat”. W radiu zadebiutował w 1991 r. Był związany z Radiem KOLOR, gdzie wspólnie z podróżniczką Beatą Pawlikowską prowadził słynną audycję „Aeroplan”.

Wojciech Cejrowski wydał 8 książek. Trzy z nich („Kołtun się jeży”, „Młot na lewicę” i „Sól do oka”), to pozycje z dziedziny publicystyki i humoru politycznego. Pięć pozostałych („Podróżnik WC”, „Na końcu Orinoko”, „Gringo wśród dzikich plemion”, „Rio Anaconda” i „Wyspa na prerii”), to książki podróżnicze.

Sprzeciw wobec zła obowiązuje każdego uczciwego człowieka

Wojciech Cejrowski podczas pobytu w Radzynie w ramach „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” (25 września) spotkał się z dziennikarzami. Pytany był nie tylko o podróże, ale także o poglądy, które prezentował jako Naczelnny Kowboj w programie „WC Kwadrans”.

Po powitaniu słowami: „Szczęść Boże!” wyraził uznanie dla Roberta Mazurka, podkreślając, że jest to oświadczenie w ramach konferencji. – Doskonały organizator, pięknie wszystko przygotował. Nie znaliśmy się wcześniej, a zdołał przebić się przez panią Halinę Romaniszyn (menedżerkę), która robi wszystko, żebym nie jeździł po kraju, bo to męczące.

Odrzucony „Gringo” stał się bestsellerem

Robert Mazurek przypomniał, że „Radzyńskie spotkania z podróżnikami” wyrosły z serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Ciekaw był, jak doszło do jej publikacji.

– W 2003 r. napisałem „Gringo wśród dzikich plemion”, zacząłem chodzić po różnych wydawnictwach, ale wtedy „śmierdziałem” takim programem jak „WC Kwadrans”, nikt mnie nie chciał wydawać – podróżnik przypominał, że prezentował tam zdecydowane, jednoznaczne poglądy jako katolik (– W odbiorze „Gazety Wyborczej” byłem traktowany mniej więcej jako katolicki Bin Laden – skomentował W. Cejrowski).



Fot. Anna Wasak

Do pierwszego wydania książki udało się namówić małą drukarenkę diecezjalną w Pelplinie, która zajmowała się drukowaniem obrazków i książeczek do nabożeństwa. – Spodobła się mojemu pierwszemu wydawcy, postanowił ją wydać – wspominał podróżnik. Spodobał się również kształt plastyczny książki, a ponieważ wcześniej Bolesław A. Uryn przyniósł swój tekst o Mongolii, wydawcy postanowili wydać go w podobnej formie. Tak zaczęła się „seria”. – Dalej już poszło samo... – skomentował W. Cejrowski. Książka – jak się okazało – odniosła olbrzymi sukces wydawniczy: do tej pory sprzedanych zostało 500 tys. egzemplarzy i po 11 latach cały czas jest w księgarniach.

Macie obowiązek mieć poglądy

Podczas konferencji przypominałam, że Polacy mogli bliżej poznać Wojciecha Cejrowskiego i jego poglądy dzięki programowi „WC Kwadrans” emitowanemu w latach 1994-96. Co piątek przed telewizorami zasiadało ok. 3 mln widzów. – To był wówczas ewenement. Widzów przyciągał swobodny styl prowadzenia programu, a szczególnie mówienie wprost – bez ogródek o ważnych problemach przez dziennikarza niekryjącego swego katolicyzmu i patriotyzmu.

– Nadekspresję ruchów przywiozłem z Meksyku, a mówienie wprost o problemach – z mojej rodzinnej wioski, może także z zagranicy, bo przed „WC Kwadransem” kilkanaście lat organizowałem wyprawę do dzikich plemion. Nikt o tym nie wiedział, bo nie miał skąd – przypominał dziennikarz. – Do „WC” trafiłem, bo ludzie słyszeli wcześniej moje przeglądy prasy w radiu i zainteresowało ich, że można coś powiedzieć tak wprost, że facet nie ukrywa własnych poglądów, nie mówi: Ja tylko cytuję gazetę, a państwo sobie to zinterpretują. To ślepa uliczka.

Wojciech Cejrowski udzielił również rady dziennikarzom: – Państwo mają obowiązek mieć poglądy, każdy świadomy obywatel ma obowiązek mieć poglądy w istotnych sprawach naszej Ojczyzny. Dziennikarz powinien być zaangażowany w sprawę swego kraju. Podobnie nauczyciel, skoro innych naucza.

Świat się nie zmienił

Na kolejne moje pytanie, czy minione 19 lat od czasu emisji programu (1994-96) nie zmieniły jego poglądów odpowiedział: – Gdy się czyta życiorys takiej postaci historycznej jak Jezus Chrystus, to widzimy, że ten świat się nie zmienił, zachowanie polityków jest takie same: jest podburzanie tłumów, umywanie rąk, tłumaczenia: „to nie ja, mnie obowiązują procedury”. Zachowanie Piłata było takie samo: „Przyszli do mnie faryzeje, co ja mogę zrobić?”. Świat się nie zmienia, moje poglądy też się nie zmieniają. Sprzeciw wobec zła obowiązuje każdego uczciwego człowieka przez całe życie, bez względu na to, jaką maskę ma akurat zło: to jest obojętne, czy jest to maska Jaruzelskiego czy Putina – jest to zło osobowe, któremu stawiamy odpór. Poprawnie ukształtowany mężczyzna walecznie staje naprzeciw przeciwnika i tyle.

– Czy to dotyczy również takich problemów jak aborcja, in vitro, homoseksualizm, o których również Pan się wypowiada bardzo jednoznacznie i wyraziście? – padło kolejne pytanie.

- Jeśli kocham bliźniego i widzę, że robi sobie krzywdę, to reaguję. Spotykam pijaka - mogę zrobić unik i pomyśleć: niech robi, co chce. Albo mam świadomość, że on zaraz pójdzie od domu i będzie bił żonę, więc wszelkimi sposobami staram się, żeby przestał być pijakiem. Ze zboczeńcami jest to samo. Mogą być bardzo zaangażowani emocjonalnie w to, co robią, i uważać, że to jest piękna relacja między dwiema osobami, ale jeśli ja w głębi serca i duszy wiem, że to jest złe dla nich i ich otoczenia, to podejmuję kroki - nie po to, by niszczyć człowieka, ale żeby się nawrócił, żeby nie miał możliwości krzywdzenia otoczenia. Pijakom ograniczamy picie, pedofilom np. pracę w szkole, żeby nie byli katechetami, nauczycielami wu-efu. Żeby byli stygmatyzowani, np. w komisariacie policji by było napisane: ten był skazany 20 razy za pedofilię, znajcie jego nazwisko, twarz, miejsce zamieszkania. To są utrudnienia, które sprawiają, że będzie się ograniczał.

I kolejne pytanie: - Czy podróże po świecie, poznawanie różnych kultur nie sprawiają, że zmienia Pan poglądy?

- Chłop latający na golasa po puszczy amazońskiej nie jest dla mnie irytujący, bo tam jest inna kultura, jestem tam badaczem, obserwuję zjawisko dzikiego ludu, tamtejszą kulturę. Ale już chłop idący Marszałkowską na golasa w czasie parady jest dla mnie irytujący, bo tu jest moja Ojczyzna i inna kultura - odpowiada podróżnik. - Dlatego inaczej na niektóre rzeczy reaguję w kraju, a inne pokazuję w programie „Boso przez świat”.

Jestem Polakiem z krwi i kości

Wojciech Cejrowski mówił o swym patriotyzmie, umiłowaniu Ojczyzny. - Jestem Polakiem z krwi i kości - wyznał. Porównywał Polskę do matki. Tłumaczył, dlaczego radykalnie się wypowiada na temat aktualnej sytuacji Polski: - Polska to moja matka, krew z krwi, na matkę nie można się obrażać, choć można nie rozumieć, dlaczego się dziwnie zachowuje, popada w te same kłopoty. Dlaczego w ramach demokratycznych procedur wybrała tego bydlaka Kwaśniewskiego, który ją źle traktował, służył obcemu mocarstwu - dlaczego to zrobiła i poszła do tego samego komunisty?

Dodał, że konsekwencją miłości do Ojczyzny są obowiązki. - Jakby było jakieś zagrożenie, mam obowiązek przylecieć przez ocean i stanąć w obronie ojczyzny z karabinem w ręku. Ta miłość do ojcowizny, powinna być jak miłość do rodziców - nie wyklucza, że się zakochujemy, zakładamy rodziny z daleka od domu rodzinnego.

Zadeklarował, że codziennie czyta Pismo Święte. - Czytam, bo lubię. To dobrze wypełnia obowiązek porannego pacierza. Gdybym nie lubił, modliłbym się w inny sposób. Stary Testament to moja pieśń, czytam go w kółko, ale mam kłopot z Nowym Testamentem. Nie czaję bazy, może do tego nie dorosłem. Wierzę w Pana Jezusa, modlę się jak trzeba i Koronkę do Bożego Miłosierdzia o 15.00 odmawiam. Bliskie są mi modlitwy Maryjne, moja ulubiona pieśń to „Chwalcie łąki umajone” - dodał W. Cejrowski. Dodał też, że jego jednoznaczność i radykalizm wynika z Ewangelii: - Radykalnie się wypowiadam, bo Pan Jezus powiedział, że nasza mowa ma być tak-tak, nie-nie.

Podróżnik dał się wciągnąć w rozmowę o podlaskich smakach. Okazało się, że nie przypadła mu do gustu kiszka – wypełniona ziemniakami, smalcem i mięsem. Dla równowagi przytoczył przykład kolegi, któremu nie smakował regionalny przysmak z jego rodzinnej wsi na Kociewiu. – Kuchnia w ramach tego samego kraju, kultury może być tak różna, że aż przerażająca dla kubków smakowych.

Padło oczywiście pytanie o wrażenia z Radzyna. W naszym mieście podróżnik był po raz pierwszy, pałac Potockich nazwał trzecim Wersalem.

Anna Wasak



Fot. Tomasz Młynarczyk

„Ale Meksyk!”

Wojciech Cejrowski, znany podróżnik i dziennikarz, przebywał w Radzynie 25 września w ramach „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” oraz obchodów 10-lecia Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych. Tłumnie przybyli fani nie zawiedli się: blisko 800-osobowa publiczność co chwilę wybuchała śmiechem, słuchając opowieści o Meksyku, ale nie tylko... Znane powiedzenie „ale meksyk!” ma popularne znaczenie, które świetnie nadaje się do komentowania także naszej polskiej rzeczywistości.

Obszerna hala I Liceum Ogólnokształcącego w Radzynie wypełniła się po brzegi. Licznie przybyłych gości, wśród których był m.in. poseł na Sejm RP Jerzy Rębek, proboszcz parafii Świętej Trójcy ks. Andrzej Kieliszek, prezes Radzyńskiego Stowarzyszenia Inicjatyw Lokalnych Józef Korulczyk, wójt Wiesław Mazurek, powitał Robert Mazurek.

Inicjator „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” przypomniał ich historię. Podziękował żonie – Małgorzacie, która na 25 urodziny podarowała mu książkę Wojciecha Cejrowskiego „Gringo wśród dzikich plemion”. – Przeczytałem ją jednym tchem, potem półki z książkami zaczęły się wypełniać kolejnymi pozycjami z serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Dwa lata temu zaczęliśmy do Radzyna zapraszać autorów cyklu. Moim marzeniem było zaprosić samego Wojciecha Cejrowskiego. I to się wreszcie stało! – z satysfakcją stwierdził Robert Mazurek.

– Podróżnik, poszukiwacz ginących plemion Amazonii, wielka osobowość telewizyjna, popularny dziennikarz radiowy, aktor komediowy, pisarz, publicysta, satyryk, krytyk biurokracji i socjalizmu, krytyk muzyczny, fotografik. Cokolwiek robi, robi zawsze z pasją. Jest gorący, ostry, wyrazisty i bezkompromisowy, szczodry w krytyce, oszczędny w pochwałach – przedstawiał gościa inicjator spotkania.



Fot. Tomasz Młynarczyk

Na spotkanie przybyło blisko 800 osób. Nie tylko z Radzyna i bliskich okolic, także z bardziej odległych miejscowości. Wojciech Cejrowski nie zawiódł swych fanów. W prawie dwugodzinnym programie prowadzonym w stylu *stand-up co-*

medy pokazał mniej znane oblicze – satyryka, humorysty i ... świetnego aktora komediowego. Publiczność stale reagowała salwami śmiechu, słuchając opowieści o Meksyku, ale nie tylko... Znane powiedzenie „ale meksyk!” ma znaczenie, które świetnie nadaje się do komentowania naszej polskiej rzeczywistości.

Z kolei po występie Wojciech Cejrowski odpowiadał na pytania publiczności. Gość „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” nie szczędził też czasu na podpisywanie książek, rozmowy indywidualne z czytelnikami, pozowanie do zdjęć.

Podróżnik był usatysfakcjonowany radzyńskim spotkaniem, o czym następnego dnia napisał na swej stronie internetowej (http://www.cejrowski.com/dziennik/index.php?id=56221781&subpage=0&show_all=) i profilu Facebook.



Wojciech Cejrowski na face book

26 września

Szanowni,

Wczorajszy występ w Radzynie Podlaskim - fenomen frekwencyjny.
W osiemnastotysięcznym miasteczku na sali było 765 osób (z biletami).

Na pierwszym miejscu pod względem frekwencji jest od wielu lat Kraków, gdzie 700 osób na sali to moja norma, a rekord to 1200.

Drugie miejsce w tym rankingu zajmował Poznań z frekwencją 700 osób, ale od wczoraj na drugim jest Radzyń Podlaski. I mówimy o sprzedanych biletach, a nie o jakimś darmowym spędzie.

Chylę czoła przed niezwykle skutecznymi Organizatorami.

wc

Organizatorami spotkania z Wojciechem Cejrowskim byli: Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim.

Anna Wasak



Fot. Anna Wasak

Lubiłem grzebać w gdańskiej szafie Halika

Wywiad Roberta Mazurka z podróżnikiem Wojciechem Cejrowskim

Jakie było Pana pierwsze skojarzenie, gdy dowiedział się Pan, że będzie występował w Radzynie Podlaskim? Był może już Pan kiedyś w naszym mieście?

Pierwszym skojarzeniem była Biała Podlaska, gdyż tam akurat byłem niedawno z występem dla studentów. Po chwili zorientowałem się, że to Radzyń, ale najważniejsze było, że coś podlaskiego, gdyż Podlasie na równi z Podkarpaciem uważam za najporządniejszy pod względem moralnym obszar naszego kraju w jego obecnych okrojonych granicach.

Przed przyjazdem do Radzyna sprawdzałem w moich archiwach, czy znajdę jakiś stary scenariusz poprzedniego występu. Wydawało mi się, że w czasach „WC Kwadransa” czyli dwadzieścia lat temu, byłem już u Państwa z występem, ale... nie byłem.

„Radzyńskie spotkania z podróżnikami” wyrosły z serii książek „Biblioteka Poznaj Świat” powstającej pod Pana czujnym okiem. Skąd wziął się pomysł na ten cykl wydawniczy?

Moja książka „Gringo wśród dzikich plemion” była pierwsza. Wydawcy najpierw nie podobało się, że mam zamiar sam przygotowywać wszystko do druku, sam zadbać o okładkę, o fotografie, o mapy, o grafikę w książce – zazwyczaj jest to robota wydawcy, ale kiedy zobaczył efekt końcowy, natychmiast zaproponował bym z tego zrobił serię i przystał mi książkę Pana

Uryna na temat Mongolii. Od tamtych wydarzeń minęło 11 lat i jesteście przy trzydziestej książce w serii.

Czy którąś z książek „Biblioteki Poznaj Świat” lubi Pan szczególnie? Może ma Pan ulubionego autora?

Och tak, mam opinię – jednych autorów lubię lub cenię bardziej, innych mniej – ale nie wypada mi publicznie o tym gadać, skoro jestem ojcem całej tej serii. Bo to tak jakby ojciec rodziny wielodzietnej publicznie mówił, że jednego z synów kocha bardziej od pozostałych. Mam w tej serii wszystkie książki, które napisał Tony Halik – bardzo lubiłem pracę nad ich wydaniem, niezbędne do tego spotkania przy winie z Elżbietą Dzikowską. Lubiałem grzebać w gdańskiej szafie Halika, gdzie na dnie miał pochowane całe sterty niepublikowanych zdjęć. A najbardziej lubiłem prace archeologiczne nad Jego tekstami. Bo Halik to prawdziwy gawędziarz i uwielbiał opowiadać po wielokroć te same historie. Za każdym razem coś w nich zmieniał, kiedy opowiadał to samo po raz kolejny, niekiedy przypominał mu się jakiś nowy szczegół, a o innym zapominał. Czytając wiele wydań jego książek musiałem doprowadzić te opowieści do wersji najpełniejszej łącząc ze sobą wszystkie drobne elementy opowiadane to tu to tam.

Jakie warunki musi spełniać maszynopis, by wejść do kanonu książek „Biblioteki Poznaj Świat”?

Maszynopis musi być napisany na komputerze (śmiech), musi być wydrukowany na papierze, a potem przesłany do wydawcy. Czytamy, robimy notatki na marginesach i najczęściej odrzucamy. Ale... mamy też dobrą rękę do debiutantów. Ostatnim był Pan Marek Pindral, który doskonale opowiada i jego książka o Chinach... niecodzienna, bardzo dobra. Drugą książkę napisał o Omanie i też jest ciekawa, ale niestety nie wyjdzie w mojej serii, gdyż Autor zerwał mi się ze sznurka na etapie redakcji tekstu. Chciał, by wszystko było wydrukowane dokładnie tak jak On to napisał, a ja uważam, że redakcja tekstu jest ważna i od tego moja osoba by zadbać o poprawki tam, gdzie tekst tego wymaga. Bardzo żałuję, że nie dojdzie do publikacji drugiej książki Pana Pindrala u nas, ale z drugiej strony na każdej książce z tej serii napisano: Dbamy o markę - wydajemy tylko dobre teksty. Poprawiamy tekst tam, gdzie trzeba poprawić. Nie przepuszczam Autorowi knotów nawet jeśli Autor będzie tych knotów bronił i groził zerwaniem umowy.

Jest Pan pisarzem, podróżnikiem, dziennikarzem, kabareciarzem. Które z tych zajęć sprawia Panu największą przyjemność i pożytek?

Kabareciarzem nie jestem i nie cierpię polskiego kabaretu. Ja kocham amerykański stand up, czyli tego samotnego wojownika z mikrofonem w ręku, bez dekoracji, bez rekwizytów, samotnego człowieka, który wychodzi na salę gdzie jest kilkaset osób i musi dać radę. Musi ich bawić skutecznie przez półtorej godziny. Sam z mikrofonem na pustej scenie - to jest coś! A kabarety to niestety najczęściej facet w ogromnych okularach i powyciąganym swetrze, który udaje starą babę.

Największy pożytek? W jakim sensie? Duchowym czy finansowym, czy jakim? A jeśli chodzi o przyjemności to ja najbardziej lubię nic nie robić, ale nie mam na to czasu, gdyż zawsze mam coś do roboty, za co oczywiście Bogu dziękuję, gdyż mógłbym w tym czasie gnąć na

bezrobociu, więc z dwojga złego to już lepiej mieć za dużo na głowie, niż nic, nie? No!

Od 25 lat podróżuje Pan po świecie. Kiedy Cejrowski-turysta zmienił się w Cejrowskiego-podróżnika i antropologa?

Nigdy nie byłem turystą. Od samego początku były to wyjazdy do roboty, najpierw archeologiczne, fotograficzne, a ostatecznie antropologiczne, ale turystycznie jakoś nigdy w życiu.

Czy to prawda, że sprzedał Pan lodówkę, aby mieć pieniądze na pierwszą wyprawę?

Tak i w dodatku nie była to moja lodówka, gdyż byłem wówczas szczawiem. Sprzedałem lodówkę mojej Mamy, a po powrocie z wyprawy odkupiłem jej nową z Pevexu za dolary, najlepszą jaka była na rynku w komunistycznym kraju.

Podróżując co roku „na drugi koniec globusa”, żyje Pan chyba jakby w dwóch światach. Czy ciężko się jest przestawić z dżungli z powrotem na Europę i Polskę?

Przyzwyczaiłem się. Panu też nie jest ciężko zamieniać służbowe buty na domowe kapcie, bo się Pan przyzwyczaił. Więc ja sypiam normalnie niezależnie od tego czy w łóżku czy w hamaku i trawię normalnie niezależnie od tego czy to zupa z małpy, czy rosół z kury.

Odbył Pan kilkadziesiąt wypraw do 60 krajów, spędził w sumie już kilkanaście lat w dżunglach i na pustyniach, rzekach oraz w miastach całego świata. Czy z przycóż, przeżyć, chwil zapamiętanych, wyłania się jakaś jedna, która szczególnie Panu utkwiła w pamięci?

Nie. Wyłania się ich całe stado. I dlatego piszę książki.

Dokumentuje Pan ostatnie plemiona Amazonii, które jeszcze nie porzuciły swojej tradycji, języka i kultury. Co Pan będzie robił, kiedy z powierzchni ziemi znikną ostatnie tradycyjne plemiona i puszcza amazońska?

Myślę, że wtedy będę już w raj, w najgorszym razie w czyścú.

Czy myślał Pan kiedyś na poważnie o tym, żeby zamieszkać w Amazonii na stałe, nie wracać już do Polski?

Nie wracać? Szanowny Panie, Polska to nie jest dworzec, na który można nie wracać. Polska stanowi obowiązek, jak matka. Dorosły człowiek wyprowadza się od mamusi, ale nadal o nią dba, odwiedza, troszczy się, opiekuje...

Lubi Pan powtarzać: Polska to moja matka, a Ameryka Południowa to moja żona...

Tak, bo to dobra metafora. Ludzie często mają pretensję do mnie że ja „taki patriota” jednocześnie mieszkam za granicą. No to wtedy opowiadam im o tym wyprowadzaniu się dorosłego człowieka z domu rodziców. To, że się człowiek ożenił, nie oznacza, że przestał kochać matkę.

Jak wygląda dzień Wojciecha Cejrowskiego w Polsce, a jak w Ameryce Południowej?

Zaczynam od pacierza.

Czy są jeszcze takie miejsca, gdzie chciałby Pan pojechać?

Na księżyc. Może dożyję lotów wycieczkowych. Na razie można się wybrać na orbitę, ale za dwadzieścia lat, może da się i na księżyc.

Dziękuję za rozmowę i życzę Panu, by zrealizował swoje wszystkie podróżnicze marzenia.



Tomasz Owsiany – urodził się w 1984 r. w Toruniu. Jest absolwentem filologii romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, z wykształcenia tłumaczem konferencyjnym, a z różnych powodów – pracownikiem korporacji. W 2011 r. znużony biurową rutyną rzucił pracę i przeniósł się na dziewięć miesięcy na Madagaskar, by na misji w niewielkiej miejscinie Mampikony uczyć języka francuskiego. Pracował, podróżował i poznawał malgaskie realia. Nazywa siebie „kielkującym podróżnikiem”, bo – jak twierdzi – na miano podróżnika trzeba sobie zasłużyć. Szykuje się już do kolejnej wyprawy. Jest miłośnikiem przyrody, który najchętniej odpoczywa w lesie i na górskich szlakach. Szczególnie lubi włóczyć się samotnie po Beskidach. W czerwcu 2014 r. zadebiutował książką „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” wydaną nakładem Wydawnictwa „Bernardinum” w serii „Biblioteka Poznaj Świat” współtworzonej przez Wojciecha Cejrowskiego.

Chciałem ożywić oglądane zdjęcia z dalekich krajów

Wywiad Roberta Mazurka z Tomaszem Owsianym, autorem książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie”

Zanim wyjechałeś na Madagaskar, byłeś pracownikiem korporacji. Co skłoniło Cię do – jak to napisałeś w swojej książce – kupna biletu lotniczego i otwarcia jednego z najwspanialszych rozdziałów w życiu?

Świat mnie ciekawił – to banalne stwierdzenie, ale nieodzowne. Odkąd skończyłem dwadzieścia lat, zawsze miałem w szufladzie przynajmniej jeden bilet lotniczy na najbliższe miesiące i sporo jeździłem po Europie. A potem nabrałem ochoty na więcej. Chciałem ożywić oglądane zdjęcia z dalekich krajów; marzyłem, żeby choć raz znaleźć się w dżungli i zamieszkać

wśród ludzi, którzy nie znają jabłek ani Batmana. Bodźcem do wyjazdu była natomiast sama korporacja: miałem jej wyżej uszu. Wbrew temu, co z uporem tąduje się do głowy pracownikom wielkich firm, praca w korporacji jest tylko wyższym stadium dziergania przy taśmie. Rutyna, procedury, biurokracja zjadająca własny ogon i pseudo wiedza, która w większości nie przydaje się poza daną firmą. Poczutem wyraźnie, że szkoda na to życia i że czas zrekompensować sobie dwa jałowe lata cennymi przeżyciami. Przygodą i wielką podróżą.

Skąd wziął się u Ciebie pomysł wyjazdu właśnie na misje? Co tam robiłeś?

Z przypadku. Kiedy w 2008 roku kończyłem studia, poznałem we Francji ojca Darka, z którym szybko się zaprzyjaźniliśmy i niejedną wieczór przegadaliśmy. Niedługo potem Darek dołączył do misji w niewielkim miasteczku Mampikony na suchym, północno-zachodnim wybrzeżu Czerwonej Wyspy, a trzy lata później zaprosił mnie do siebie, proponując posadę nauczyciela języka francuskiego w miejscowym liceum. Zatem mój wyjazd był naturalną konsekwencją naszego przypadkowego spotkania. Zgodnie z umową, na miejscu zostałem monsieur Thomasem, panem Tomaszem od francuskiego, a także prowadziłem szkolenie językowo-dydaktyczne dla malgaskich nauczycieli. I oczywiście śledziłem bieżące sprawy misji, dzięki temu zebrałem mnóstwo barwnych, czasami wręcz niewiarygodnych historii, które wywołują całą wachlarz emocji.

Nie bałeś się tam jechać?

Absolutnie nie. Nie jechałem przecież w ciemno, tylko do moich kumpli misjonarzy. Uważam też, że wszędzie, niezależnie od miejsca, czeka gdzieś na nas zbłąkana kula czy obluwowana dachówka. Staram się więc zachowywać rozsądek, ale jednocześnie przyjmuję ze spokojem, że będzie, co ma być. Poza tym Madagaskar, mimo wysokiej przestępczości, jest bezpiecznym krajem jak na ogólnoafrkańskie standardy. Ze zwierząt groźne są jedynie krokodyle nilowe, rekiny i pasożyty oraz jadowite skolopendry i skorpiony – Australijczyk uśmiechnąłby się pod nosem na widok tak krótkiej listy! Obawiamy się malarii i słusznie, ale nie warto też jej demonizować. Pamiętajmy, że na Madagaskarze to choroba powszechna, ot taka tropikalna grypa. W większości wypadków zdrowy, dobrze odżywiony organizm można szybko i skutecznie wyleczyć z malarii nawet w warunkach polowych, za pomocą kroplówki. Doktor Tsarahita, nasz miejscowy lekarz, świetnie poradził sobie w przypadku moich trzech ataków.

Jak Wasz ośrodek i Twoja praca były postrzegane przez miejscowych?

Misja była i jest sercem Mampikony, jego najważniejszą instytucją i zarazem jedyną, którą mieszkańcy darzą powszechnym zaufaniem. Pukają do jej drzwi, kiedy chcą zorganizować ważną uroczystość i kiedy mają poważny konflikt w rodzinie. Przychodzą z wysypką na pośladku i z rozterkami moralnymi. Przychodzą, bo wiedzą, że misjonarze są uczciwi i zaangażowani, a to bez mała luksus. Moja praca również była doceniana i przyjmowana z wdzięcznością, choć niestety po części było to „zasługą” koloru skóry. Owszem, wazaha bywa odbierany niechętnie, ale na prowincji kontakt z białym jest przeważnie szacowanym, zaś wszystko, co wychodzi spod białej ręki, uchodzi za wyjątkowe. Także lekcje w szkole. Inna sprawa, że moje metody były rzeczywiście ekstrawaganckie. Dużo żartowałem i mimo dyscypliny nie podchodziłem do uczniów z dystansem. Starłem się, żeby każda lekcja była

ciekawą niespodzianką. Szykowałem projekcje, scenki, robiliśmy panele dyskusyjne i konkursy z nagrodami. Rzucaliśmy owocami rafii, robiliśmy w klasie majonez, zakładaliśmy antenki ufoludków zrobione z drutu od worków foliowych. Dużo się działo. Byłem jednocześnie wymagający i goniłem młodzież do roboty. Nie chcę, żeby to zabrzmiało bufoniasto, ale wydaje mi się, że dzięki tym elementom moje lekcje robiły na uczniach duże wrażenie. Pozostali mieszkańcy też doceniali to, że żyłem z nimi, a nie obok nich. Byli wdzięczni, że poświęcam im wiele pracy, choć po prawdzie to ja zyskiwałem najwięcej: przygodę, poczucie spełnienia i satysfakcję. To ja powinienem być im wdzięczny za możliwość pracy z nimi. I byłem.

Czym różni się szkoła na Madagaskarze od polskiej szkoły? Czy Malgasze mają świadomość potrzeby edukacji?

Szkoła podstawowa i gimnazjum, które poznałem, wydają się nam szalenie pocziwe. Nie tylko dlatego, że dzień zaczyna się od wymiatania nietoperzowych bobków, a część uczniów wciąż robi notatki na czarnych tabliczkach. Pocziwy był cały system. Nauczyciel potrafił spóźnić się godzinę na zajęcia, zasnąć na biurku w trakcie lekcji, albo zamknąć uczniów na kłódkę i pójść sprzedawać racuchy przy asfaltówce. Wiele lekcji polegało na zapisywaniu treści z książki i przepisywaniu jej przez uczniów, bez zrozumienia i bez wyjaśnień. Żarty kończyły się dopiero w liceum. Tak przynajmniej było za mojego pobytu; wiem od Darka, że od tej pory w niższych szkołach sporo się zmieniło. A świadomość potrzeby nauki? Jak wszędzie na świecie, zależy od człowieka, jego pochodzenia i podejścia w domu. Jeszcze wielu rodziców w tamtym regionie uważa szkołę za niepotrzebną, tak jak to w Polsce na wsi bywało, gdy mówiono, że po nauki jeździ, czas tylko i pieniądze marnuje, a w polu robić nie ma komu. Sami uczniowie są w większości zżyci ze szkołą i czują, że nauka ich rozwija. Że, stają się lepsi. Wielu z nich ma bardzo prostych rodziców, czasem niepiśmiennych. Widzą, że dzięki szkole potrafią dużo więcej, niż starsze pokolenie. Byli i tacy, którzy organizowali grupkę i przychodzili wieczorem, po całym dniu zajęć, żeby poprosić o dodatkową lekcję. Zawsze wtedy chwytalem puszkę z kredą i szliśmy do klasy, nawet jeśli padałem na dziób.

Co byś uznał za swój największy sukces edukacyjny?

To, że niektórzy licealiści dwa lata po moim wyjeździe mówią, że ze wszystkich zajęć najlepiej wspominają lekcje z monsieur Thomasem. Jestem z tego bardzo dumny. Kilkoro z nich osiągnęło też znakomite wyniki na maturze, najlepsze w całym regionie, wśród nich tacy, którzy zupełnie nie rokowali. Jeśli moje metody, które miały ich pobudzić i nauczyć samodzielności, w jakimś stopniu się do tego przyczyniły, to jest duży sukces!

W co wierzą Malgasze?

Wierzą w siłę kropli drążącej skałę, kiedy chcą coś uzyskać. Usłyszą trzecią i piątą odmowę, a i tak będą wytrwale wiercić dziurę w brzuchu. Wierzą też w siłę rodzinnego klanu, gdyż na Madagaskarze siła tkwi w ilości, nie w mocy jednostki. Jeśli zaś mówimy o wierzeniach w znaczeniu religijnym, to wciąż większość Malgaszów choć w części pozostaje animistami, nawet jeśli regularnie chodzi do zboru czy kościoła. Animizm, najogólniej mówiąc, zakłada, że esencja duchów przenika materię świata, a dusze pozostają w kontakcie z żyjącymi i wpływają na ich los. I nietrudno takie duchy rozźłościć: wystarczy poskąpić mięsa z zebu na pogrzenie, nie dopilnować ceremonii przewinięcia kości czy złamać ważne fady, rytualne

tabu. Animizmem rządzi strach, uczucie bardzo konkretne i przenikliwe, które sprawia, że wielu woli na wszelki wypadek dopełnić tradycyjnych obowiązków. Dzięki temu rdzenne wierzenia wciąż nieźle się trzymają, mimo laicyzującej nowoczesności i wpływów obcych religii, głównie chrześcijańskich.

A jaki stosunek do śmierci mają mieszkańcy Madagaskaru?

Wyraźnie inny, niż nasz. W Europie śmierć zniknęła z ulic i podwórek wraz z zakończeniem II wojny światowej i została trwale wyparta z codzienności za mury instytucji i firanki zakładów. A Malgaszę są z nią obcy. Każdego roku kilkoro uczniów z naszej szkoły umiera na ciężkie choroby; zdarza się wiele wypadków. Ktoś zapije się trzciniowym bimbrem i utopi w studni, innego porazi prąd, innego jeszcze pożre krokodyl, a wszelkie czynności wokół zmarłego wykonuje rodzina, zwłaszcza że wśród ludu Tsimihety istnieje silne tabu zakazujące dotykania zwłok obcej osoby. Powszechną praktyką jest rytualna ekshumacja, której towarzyszy zmiana całunu i dotykanie szczątków zmarłego. Gdziekolwiek nieboszczyka sadza się przy odświętnym stole lub zakłada jego pośmiertne ubranie. Wspomniany strach przed ewentualną zemstą zmarłych cementuje wiarę Malgaszów. Bywa, że rodzice wolą zachować zębu na pogrzeb dziecka, niż je sprzedać i opłacić leczenie potomka. To z naszego punktu widzenia szokujące, ale jest jednocześnie dowodem siły ich wiary. O tej sile misjonarze mówią z pewną zazdrością.

Uszanowanie miejscowych zwyczajów kosztem własnych wartości to częsty dylemat na Czerwonej Wyspie. Czy były momenty, w których właśnie z tego powodu znalazłeś się w niezręcznej sytuacji?

Bywały. Buntowałem się, kiedy przed moimi warsztatami kobiety niewiele młodsze od mojej mamy pucowały salę szkolną, a mnie zakazano pomagania, mówiąc, żeby zostawić wielkim, to co wielkie, a małym to, co małe. Zawsze zagaduję kelnerów i dziękuję im za każdy drobniak i sam podaję kosz ze śmieciami pani sprzątacze w biurze, bo stosunek pan-sługa mnie krępuje. Tam krępował mnie podwójnie, ponieważ wpisywał mnie w stereotyp „udzielnego księcia vazahy”, któremu bardzo starałem się przeczyć. Pamiętam też mój wstyd, kiedy w towarzystwie młodzieży jadłem ryż z mięsem nad strumieniem i wyjąłem z ust żyłasty kawałek wieprzowiny, na co chłopiec siedzący obok zapytał, czy będę kończył mięso i ochoczo włożył resztkę do buzi. Na malgaskiej prowincji zjada się do końca wszystko, co ma wartość odżywczą.

Podczas swojego pobytu na Madagaskarze byłeś w północno-zachodniej części wyspy. Gdybyś miał możliwość pojechać tam jeszcze raz, to który region chciałbyś teraz poznać?

Na pewno wróć odwiedzić moje stare kąty. Chciałbym również poznać skrajnie południową część Wyspy, wyraźnie inną od pozostałych regionów. To jedyny obszar o klimacie podzwrotnikowym wybitnie suchym, z charakterystyczną roślinnością kserofitową. Jest to też bodaj najbiedniejszy ze wszystkich obszarów, a zamieszkujący go lud Antandroy należy do najbardziej niepokornych. Chciałbym też pobyc na południowo-zachodnim wybrzeżu zamieszkiwanym przez rybacki lud Vezo, potomków pierwszej grupy ludności napływającej z rejonów Indonezji, o bardzo odmiennych zwyczajach.

Czego najbardziej brakowało Ci na Madagaskarze?

Mleka, chłodu i przyzwyczajenia do Internetu. Mleka, ponieważ na Madagaskarze mleczne krowy występują tylko na środkowym Płaskowyżu; w pozostałych częściach hoduje się wyłącznie zebu, których mleka ledwie wystarcza dla cieląt. Dlatego sprzedaje się głównie mleko skondensowane oraz mikroskopijne porcje wyśmienitego malgaskiego jogurtu, a w największych miastach astronomicznie drogie jogurty z importu. Chłodu brakowało mi ciągle. O rześkim powietrzu marzy się szczególnie w porze deszczowej, kiedy wilgotność sprawia, że człowiek się rozpyływa. W nocy jest równie gorąco jak za dnia; jeśli przetrzeć skórę, kolejne krople potu spłyną – dosłownie! – po kilkudziesięciu sekundach. A rano poduszka jest tak wilgotna, że można ją wykręcić. Było to bardzo męczące, zwłaszcza że wolę zimowe mrozy od letniego skwaru. Internet satelitarny był dostępny, ale działał niezwykle wolno i był horrendalnie drogi: 50 Mb transferu kosztowało mnie dwadzieścia złotych, czyli pięciodniowy zarobek miejscowego rolnika. Nie brakowało mi komunikacji z bliskimi, ponieważ nie po to jechałem osiem tysięcy kilometrów od domu, żeby zostawać głową w dawnym miejscu. Maile pisałem rzadko i przez dziewięć miesięcy nie rozmawiałem przez telefon z nikim z rodziny, choć mogłem bez większego trudu. Sieci brakowało mi natomiast do szykowania lekcji, jako że z braku podręczników musiałem wszystkie ćwiczenia i materiały przygotować od zera samemu.

Jakie jest teraz Twoje pierwsze skojarzenie, gdy pomyślisz o Madagaskarze?

Mój niebieski pokoik...

Twoja książka „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” jest...

... jest zbiorem puzzli, z których Czytelnik stopniowo układa coraz pełniejszy obraz Madagaskaru. Jest też boczną furtką, przez którą można wejść za kulisy malgaskiej prowincji i podejrzeć to, czego nie da się zaobserwować w trzy tygodnie. Czytając „Madagaskar” można zadomowić się w Mampikony, zajrzeć do miejscowego więzienia, śledzić spór o zamknięcie drogi i otrzymać urzędowe pismo z prośbą o pożyczanie pary nożyczek. Przeczytać o Chrząszczyku, Ralavie, o dwóch urwisach i ich natchnionej matce oraz o tym jak biskup spędził kolację z palcem w kranie. „Madagaskar” to także wyprawy w inne zakątki Czerwonej Wyspy: na archipelag Radamy z rodziną poławiaczy langust, do niezwykle ciekawego rejonu miasta Fianarantsoa na południowym Płaskowyżu i wspaniałe zwieńczenie całego pobytu w pierwotnym lesie wschodniego wybrzeża. „Tomek na Czerwonej Wyspie” jest próbą oddania esencji poznawanych miejsc i ludzi. Wiele w nim anegdot i humoru, wiele też przyrodniczych i antropologicznych ciekawostek, poważniejszych refleksji i plastycznych opisów. Zaznaczam jednak, że nie jest to książka podróżnicza, najwyżej półpodróżnicza. Jeśli więc ktoś oczekuje typowej relacji z przemieszczania się po Madagaskarze oraz zbioru egzotycznych pocztówek, może być rozczarowany.

Zadedykowałaś ją dziadkowi Kazikowi. Dlaczego?

Dziadek Kazik był jednym z najbliższych mi ludzi. Był tak nieodłączną częścią mojego świata, jak grawitacja i tak oczywistą, jak to, że mam parę rąk i nóg. I równie niewyobrażalne było jego zniknięcie. Zamknęła się wtedy dla mnie pewna epoka. Bardzo go kochałem, lubiłem i za wiele rzeczy podziwiałem. Od najmłodszych lat wraz babcią Inką zabierał mnie do lasu, parku, nad jeziora, łąki i w góry. Mieliśmy mnóstwo wspólnych wspomnień. Do

świata podchodził z ciepłą otwartością i zainteresowaniem. Lubił swoje życie. Był łagodny, a jednocześnie dziarski i zaradny. W wieku osiemdziesięciu lat nadal strzelał z łuku, pływał i przeglądał encyklopedię. Różnica pokoleniowa nigdy nie stworzyła między nami dystansu; nie było w nim za grosz starczości. Był wspaniałym człowiekiem, a jednocześnie – patrząc z boku – całkiem zwyczajnym, mimo tytułu naukowego i licznych zdolności. Chciałem, żeby po tej jego wyjątkowej zwyczajności został trwały ślad; trwalszy, niż nasze rodzinne wspomnienia. Jest nim właśnie „Notka o Dziadku Kaziku” zawarta w książce. Zawsze będę mu bardzo wdzięczny za te wspólne dwadzieścia siedem lat. Wiem też, że Dziadek miał duży wpływ na mój sposób patrzenia na świat, a więc i na to, że „Tomek na Czerwonej Wyspie” jest taki, a nie inny...

Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w Radzynie.

Dziękuję bardzo. Przyjadę z przyjemnością!

Egzotyczna przyroda i „mora mora”, czyli pomalutku

W Radzyńskiej Izbie Regionalnej można oglądać wystawę zdjęć Tomasza Owsianego pt. „Madagaskar – niecodzienna codzienność prowincji”. Podczas wernisażu 16 stycznia autor opowiadał o swym pobycie na Czerwonej Wyspie, która zaskakuje i oczarowuje na każdym kroku. Przede wszystkim wspaniałą przyrodą, ale także specyficzną mentalnością ludzi, którzy za naczelną zasadę postępowania uznają zasadę „mora mora”, czyli pomalutku, bez pośpiechu. Podróżnik jako nauczyciel języka francuskiego pracował 9 miesięcy na misji katolickiej w miejscowości Mampikony.

Tomasz Owsiany gościł w Radzynie w ramach „Radzyńskich spotkań z podróżnikami”, których organizatorami są: Radzyńskie Stowarzyszenie Inicjatyw Lokalnych oraz Szkolne Koło Krajoznawczo-Turystyczne PTTK nr 21 przy I LO w Radzynie Podlaskim.

Robert Mazurek witając gościa przypomniał, że na spotkania zapraszani są głównie autorzy książek podróżniczych wydanych w serii „Biblioteka Poznaj Świat”, ukazującej się pod patronatem Wojciecha Cejrowskiego. Gość kolejnej, 12. już edycji „Radzyńskich spotkań z podróżnikami” i autor książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” szczególnie zauroczył bardzo licznie – jak zwykle – zgromadzoną widownię. O „niecodziennej codzienności” Madagaskaru opowiadał piękną, barwną polszczyzną, z dynamiczną intonacją i żywą gestykulacją, prezentował nie tylko fotografie i filmy, ale specjalnie nagrane dźwięki. Przywiózł też ze sobą eksponaty, które można było i oglądać, i dotykać, i... wachać. Roztoczył skrzęcy się całą paletą barw i tryskający humorem obraz życia codziennego Malgasy. Słuchacze chwilami mieli wrażenie, że opowiadający przenosi ich na Madagaskar, w świat egzotycznej przyrody i ciekawej mentalności ludzi, kierujących się filozofią życia streszczającą się w słowach „mora mora”.



Fot. Paweł Żochowski

Podróżnik powitał słuchaczy tak, jak zostaliby powitani na Madagaskarze, czyli piękną, kwiecistą przemową, zwaną kabari. Na Czerwonej Wyspie wygłaszają je wykształceni w tej sztuce mówcy. Przemowy są nie tylko kwieciste, ale i bardzo długie, dlatego podróżnik oszczędził radzynie, przestając na wstępie i szybkim streszczeniu tego, co usłyszał w mowie na swoją cześć.

Madagaskar to czwarta co do wielkości wyspa świata. Jak nam się kojarzy? – Piękna, egzotyczna wyspa o śnieżnobiałych plażach otoczonych lazurowym oceanem, o skalistych wybrzeżach, pokrytych dywanem tropikalnego lasu, o dżungli – zwartej ścianie drzew, płataninie roślin i lemurach hasających w ich koronach... – snuł swą opowieść Tomasz Owsiany. Dodał, że tak wygląda wybrzeże, wnętrze Czerwonej Wyspy, jej wyżynny trzon to sawanny. Piękne i malownicze, ale – pustkowie.

Podróżnik podkreślił, że przyroda Madagaskaru jest wyjątkowo egzotyczna, ponieważ 90% fauny i flory Czerwonej Wyspy to endemity, czyli gatunki występujące tylko na tym terenie. Wspomniał o swych spotkaniach z kameleonami i lemurami, o krabach, langustach, strzykwach oraz o strachu przed rekinami. O ich krwiożerczych atakach nasłuchiwał się wielu opowieści tubylczej ludności. Pokazywał fotografie baobabów i pielgrzanów, które są znakiem rozpoznawczym, symbolem, „białym orłem” Madagaskaru, o ylang-ylang, o wonnych liściach wykorzystywanych w przemyśle perfumeryjnym. Jednak najwięcej czasu poświęcił ludziom – ich codzienności, zwyczajom, wierzeniom.



Fot. Anna Wasak

Mampikony to 30-tysięczna rolnicza miejscowość położona w północno-zachodnim, suchym, niegościnnym zakątku Madagaskaru. W sąsiedztwie są miejscowości, gdzie jeszcze nie widziano białego człowieka, ale tu znajduje się katolicka misja Zgromadzenia Ducha Świętego. Tomasz Owsiany trafił tu dzięki zaprzyjaźnionym zakonnikom z Bydgoszczy. Miejscowi Malgasze przywykli do obecności białych, ale traktują ich odmiennie. Każdy, kto nie ma rysów charakterystycznych dla Malgaszy, traktowany jest jako „vazaha”. – Vazaha to dziwoląg. W dużych miastach, gdzie miejscowi już przywykli do widoku innych, stanowi łakomy kąsek do oskubania, na prowincji również, ale jest tam także traktowany z wielkim szacunkiem. Musiałem się starać, żeby mnie przestano traktować jak człowieka lepszej kategorii – wspominał Tomasz Owsiany.

Jak wygląda początek dnia w Mampikony? Dla nauczyciela z Polski rozpoczął się od charakterystycznych dźwięków i zapachów. Od intensywnego, pobudzającego aromatu wypalanej kawy, odgłosów jej tłuczenia w drewnianym młynku, muczenia wólów zebu. Każdego poranka odbywało się czyszczenie ryżu – podstawy wyżywienia Malgaszy. – Wszyscy na Madagaskarze jedzą ryż – i to w ogromnych ilościach, polewają go wywarem z liści. Zmieniają się dodatki, ich jakość świadczy o zamożności rodziny – informował podróżnik.

Następnie Tomasz Owsiany zaprowadził słuchaczy do malgaskiej szkoły, w której tydzień rozpoczyna się od apelu z odśpiewaniem hymnu narodowego, a każdy dzień od szurania miotły, wymiatającej z klas śmieci, kurz i zwierzęce odchody.

Nie opowiadał anegdot o uczniach, ale o tamtejszych nauczycielach. Zauważył, że wielu z nich nie grzeszy zbytnią wiedzą ani odpowiedzialnością. Wspomniał o pedagogach, którzy śpią na lekcjach, albo po zamknięciu uczniów w klasie idą przygotować sobie posiłek, o nauczycielce, co wykradła pytania egzaminacyjne dla syna, a potem bez skrępowania opowiadała, że znalazła je w toalecie i z ciekawości poczytała sobie. – Prawdziwa nauka zaczyna się w liceum – pocieszył Tomasz Owsiany. Uczestnicy radzyńskiego spotkania z podróżnikiem mieli okazję wziąć udział w krótkiej lekcji języka malgaskiego, poznać dziwne dla nas zasady gramatyki – fleksji i słowotwórstwa. Słuchacze domyślili się, że „woda z cycka” to mleko, trudniej było skojarzyć, że „żywa woda z cycka” to jogurt, a „zamiennik mózgu” to komputer. Również zabawne są dla nas niektóre imiona, nadawane na Madagaskarze z zupełną dowolnością, dlatego wśród uczniów Tomasz miał Dolara, Miliona, Miliarda i Wódkę. Jako ciekawostkę podał nazwiska, których długość jest imponująca. Najdłuższe miało 34 litery.

Podróżnik zaprosił słuchaczy na mampikoński targ, gdzie handluje się wieloma towarami, w tym pustymi plastikowymi butelkami po napojach, które tam są cennym towarem, węglem produkowanym przez wypalanie drewna, zdarza się, że bardzo cennego – palisandru, które jest 4. co do wartości drewnem świata.

Zaprosił do malgaskich domów – niewielkich budek z blachy, gdzie panuje ciasnota i zaduch. Malgaszki korzystają ze współczesnych osiągnięć techniki – mają telewizory, DVD, ale jednocześnie tkwią mentalnie w świecie czarów, czarownic, klątw i olbrzymów. Tomasz przytoczył też scenę, w której nauczycielka na dziecko w ataku padaczki rzuciła zerwane z drzewa liście ze słowami: – Są zielne, to ci pomogą. A należała ona do elity miasta. – Chodziła w dżinsach i jako jedyna w mieście miała szklane szyby w domu – ironicznie skomentował podróżnik. Mówił też o fatalnym stanie higieny, służby zdrowia i drogich lekach, co powoduje m.in. że malaria na Madagaskarze zbiera śmiertelne żniwo, a Malgaszom pozostaje zabieganie o zdrowie u ... zmarłych przodków.

Zastanawiając się nad przyczyną wielkiej przepaści cywilizacyjnej między Madagaskarem a np. Europą jako jedną z przyczyn Tomasz Owsiany wskazał „mora mora”. Słowa te znaczą pomału, bez pośpiechu, są dla Malgazy stale powtarzonym refrenem. Stanowią nie tylko zwyczaj, mentalność, styl, sposób życia, ale wręcz jego filozofię. Wyraża się ona w umiejętności czekania, ale także w wielkiej prowizorce, niesolidności, improwizacji, nieprzewidywalności. Tomasz Owsiany punktując negatywne strony „mora mora” dostrzegł i pozytyw: – Malgaszki uodparniają się na stres, zmniejszając pole rażenia dyskomfortu (więcej spostrzeżeń na temat „mora mora” można przeczytać w nr 1/2015 miesięcznika „Poznaj Świat”).

Funkcjonowanie „mora mora” przedstawił na podstawie podróżowania. Jeśli do pojazdu wciska się dwa razy więcej pasażerów, niż przewidział konstruktor pojazdu, a na dachu układana jest wysoka piramida bagaży – to należałoby przewidzieć, że przy nie najlepszej jakości dróg, może nastąpić awaria. Malgaszom to nie przeszkadza. Jak się coś zepsuje, zaczekają na reperację, choćby miało to trwać i kilka dni, albo pójdą pieszo. Kilkanaście lat temu powstało sporo dróg asfaltowych. Wcześniej przejazd odległości 500 km trwał niekiedy i trzy tygodnie. Niczemu to

jednak nie szkodziło. Była to okazja do pogłębienia znajomości między pasażerami, a te niekiedy były finiszowane małżeństwami.

- Na zakończenie dnia Malgasze lubią się spotykać, tańczyć - mówił T. Owsiany. Zaprezentował przykład charakterystycznego teledysku z tamtejszą gwiazdą. Tradycyjna, głośna muzyka połączona z tańcem, przy którym wykonuje się silne, charakterystyczne ruchy biodrami, prezentowana jest nierzadko na tle tego, co stanowi luksus dla Malgaszy - salonów meblowych, sklepów ze sprzętem AGD, luksusowych samochodów.

- Codziennosc na Madagaskarze potrafi być niecodzienna dla vazahów i dla samych mieszkańców Madagaskaru - podsumował Tomasz Owsiany i jako symbol kontrastów występujących na wyspie zaprezentował fotografię, na której widniał masztu sieci telefonii komórkowej z ustawioną obok małą drewnianą chatką krytą słomą - budką strażnika masztu.

Za spotkanie podziękowali Tomaszowi Owsianemu Robert Mazurek, który wręczył mu w upominku karykaturę autorstwa Przemysława Krupskiego, oraz Józef Korulczyk z archiwalnym numerem Radzyńskiego Rocznika Humanistycznego. Prezes RaSIL jako historyk przypomniał związki Polski z Madagaskarem. Przypomnijmy, że królem Madagaskaru w latach 1776-86 był Maurycy Beniowski (którego przygody opisał Juliusz Słowacki w poemacie „Beniowski”), wśród trędowatych pracował na Madagaskarze o. Jan Beyzym (w latach 1898-1912), który zmarł w opinii świętości, a tuż przed II wojną światową prowadzone były, z inicjatywy francuskiego ministra Mariusa Mouteta, rozmowy Polski z Francją na temat przekazania Polsce Madagaskaru, który był wówczas francuską kolonią.



Fot. Paweł Żochowski

Po spotkaniu była okazja do rozmów z podróżnikiem, zakupu książki i otrzymania autografu.

Wystawa, znajdująca się w Radzyńskiej Izbie Regionalnej (pałac Potockich w Radzynie Podlaskim, wejście od strony suchego stawu), czynna jest od 12 stycznia do 13 lutego w godzinach od 10.00 do 14.00. Prezentowane zdjęcia po zakończeniu wystawy będzie można kupić, a dochód ze sprzedaży zostanie przeznaczony na stypendia dla najzdolniejszych maturzystów z biednych rodzin z Mampikony.

Anna Wasak